Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

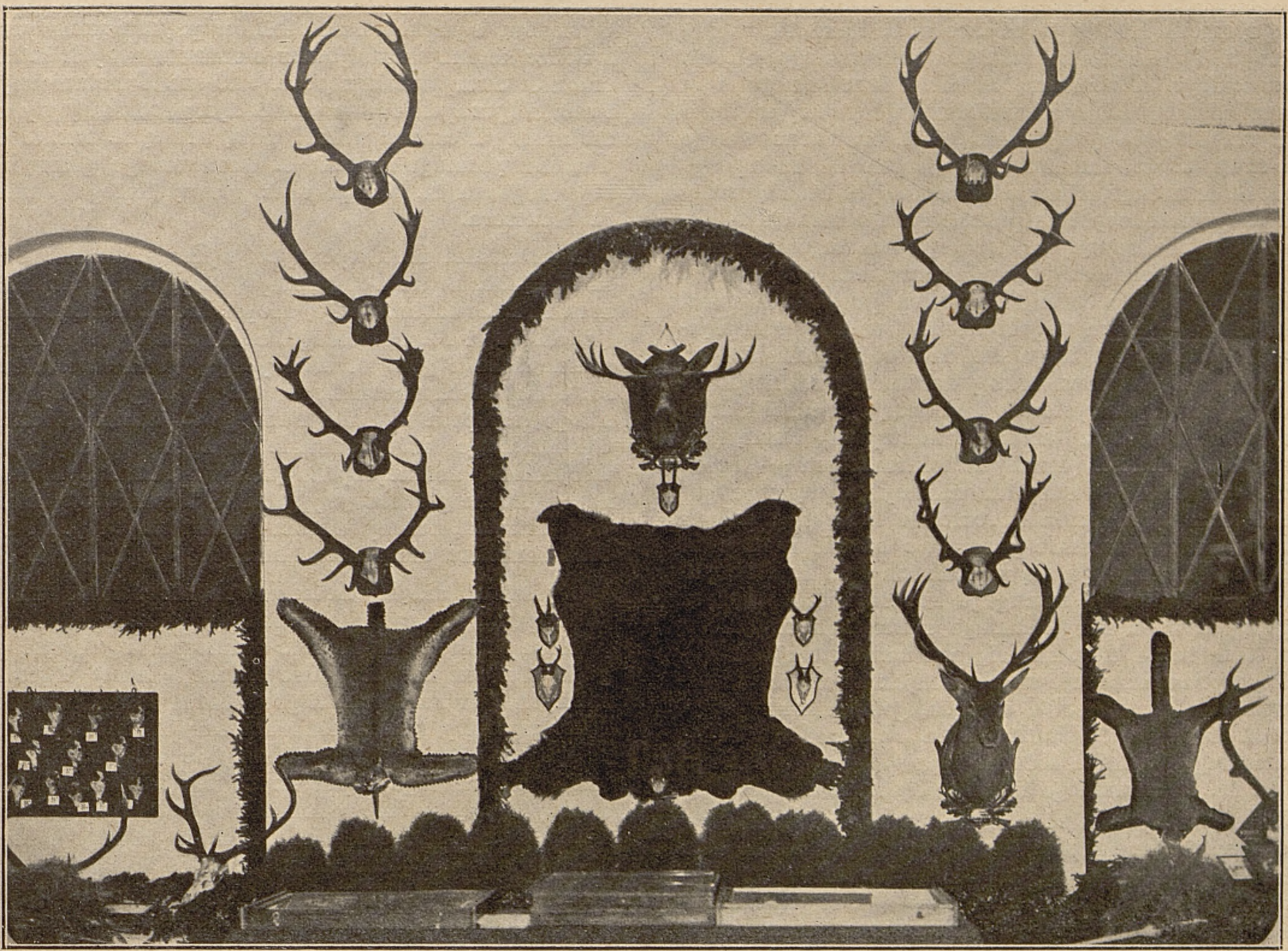
ŁOWIEC POLSKI



Tam, gdzie jelenie ryczą... Fot. Dr. M. Obniski.

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

Nr. 29 (841) 10 PAŹDZIERNIKA 1936 R.



Z Wystawy Łowieckiej we Lwowie. Stoisko Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, Prof. Ignacego Mościckiego. Fot. Kordjan, Lwów.

WYSTAWA ŁOWIECKA WE LWOWIE.

Tegoroczne Targi Wschodnie we Lwowie, otwarte w dn. 5 września przedstawiały się nadzwyczaj imponująco i odmiennie, niż w latach poprzednich, dzięki z wielkim rozmachem urządzonej wystawie „Nasze Lasy i Ochrona Przyrody łącznie z Wystawą Łowiecką". Wysokim Protektorem tej wystawy był Pierwszy Myśliwy Polski Pan Prezydent Rzeczypospolitej. Urządzona pod protektoratem gen. K. Sosnkowskiego, Prezesa Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich Wystawa Łowiecka, obejmująca również pokaz trofeów, zdobytych po 1 maja 1934 r., stanowiła nadzwyczaj dobrze przemyślaną i harmonijnie zespoloną całość. Wystawa Łowiecka we Lwowie urządzona w 60-tą rocznicę istnienia Małopolskiego Tow. Łowieckiego była nietylko przeglądem trofeów, zdobytych w ciągu ostatniego 10-lecia oraz dawniejszych, pozakonkursowych, lecz była ona plastycznym, jaskrawym dowodem wielkiej, usilnej pracy na niwie łowiectwa, jakiej dokonali myśliwi całej Rzeczypospolitej.

O gorącem zainteresowaniu naszych myśliwych tą wystawą świadczy ilość przeróżnych trofeów, jakie zostały zgłoszone, bowiem długa lista eksponatów w przewodniku po wystawie kończy się pokaźną cyfrą 1167. W tej liczbie znajduje się 10 skór niedźwiedzi, 2 pary rosoch łosi, 33 wilki, 25 rysi oraz 7 żbików — wypchanych i skór, — 94 wieńce jeleni, 602 szt. parostków rogaczy, 125 szabel i fajek dziczych oraz 18 dzików-łbów i wypchanych. Trofea te pochodzą z najrozmaitszych zakątków Polski i obrazują wyniki gospodarki łowieckiej. Wystawa Łowiecka mieściła się łącznie z wystawą lasów państwowych i prywatnych w głównym pawilonie, mającym kształt półkola. Na miejscu honorowem — po prawej stronie, tuż przy wejściu, znajdowało się imponujące stoisko Pana Prezydenta — udekoronowane zielenią, która uwydatniała piękno skóry niedźwiedzia karpackiego, skóry rysia, głów łosia i jelenia o wspaniałem porożu, parostków sarnich, zdobytych przez Pana Prezydenta na terenach reprezentacyjnych spalskich oraz wieńców jeleni, pochodzących z przedwojennych polowań w Spale. Tuż przy stoisku Pana Prezydenta mieściły się zbiory o wysokiej wartości biżuterji myśliwskiej: odznak, żetonów, tarcz i t. p. kpt. J. W. Kobylańskiego, tające w sobie przeszłość łowiectwa, obrazujące różne etapy jego rozwoju w kraju i zagranicą oraz wykazujące stopień zamiłowania do łowiectwa w czasach dawniejszych. Na podstawie dotychczas organizowanych imprez łowieckich, a mianowicie wystawy w Poznaniu, 3 pokazów w Warszawie oraz wystawy i pokazu obecnego, stwierdzić możemy z całą pewnością, iż gospodarka łowiecka czyni u nas stałe postępy.

Przejdę teraz do ogólnego omówienia poszczególnych większych stoisk z trofeami myśliwskiemi, trzymając się zasady, przyjętej przez organizatorów wystawy, a uwidocznionej w katalogu, ułożonym wg. alfabetycznej kolejności nazwisk wystawców.

Najliczniejsze były parostki sarnie, a przeto wyliczę większe zbiory, pochodzące z odstrzału myśliwskiego oraz selekcyjnego, który to ostatni obrazował stronę hodowlaną gospodarki w różnych łowiskach. Były to kolekcje: K. Bartmańskiego, K. Chła-

powskiego, D. L. P. w Białowieży, gen. dyw. K. Fabrycego, J. Jarochowskiego, J. Jędrzejewicza, S. Korwin-Milewskiego, T. Nowaka, J. hr. Gołuchowskiego, inż. H. Knothego, G. Scota, T. Zana, A. hr. Potockiego, M. ks. Radziwiłła, S. Sękowskiego, A. hr. Stadnickiego, J. Stanka, H. hr. Tarnowskiego i J. Wieczffińskiego. Z tych zbiorów najbardziej imponująco przedstawiają się kolekcje: H. hr. Tarnowskiego (88 szt.) J. ks. Lubomirskiego, gen K. Fabrycego i inż. H. Knothego, która odznacza się b. ważną cechą, a mianowicie obecnością parostków z odstrzału selekcyjnego, pochodzących z tego samego łowiska w n-ctwie Koło, co pozwala prześledzić stopniowe polepszanie się poroża. Kilkoletnia praca w łowisku została uwieńczona tegorocznem trofeum, przepięknym rogaczem, którego można uważać nieomal za dwunastaka, przyczem zrzuty zeszłoroczne, znajdujące się również na wystawie, świadczą o obecnej kulminacji rozwoju ubitej sztuki. Nadzwyczaj cenną jest niewielka kolekcja (4 szt.) K. Marmarossa — trofea trzech pokoleń — wszystko niezwykle piękne rogacze o dobrem uperleniu, rozłodze, różach i barwie poroża. Bardzo okazałe parostki o barwie i kształcie bez zarzutu znajdują się w zbiorach inż. T. Sroczyńskiego. Na uwagę zasługuje kolekcja selekcyjnych rogaczy inż. A. Mogilnickiego i kolekcja myłkusów bar. R. Groedla (10). Zkolei, jako następne wg. liczebności, wyliczę kolekcje szabel i fajek dziczych, a mianowicie zbiory L. i S. Cieńskich, gen. K. Fabrycego, bar. R. Groedla, S. Gołdy, J. hr. Jezierskiego, S. hr. Krasickiego, J. ks. Lubomirskiego, J. hr. Potockiego, M. X. hr. Pusłowskiego i B. hr. Tyszkiewicza.

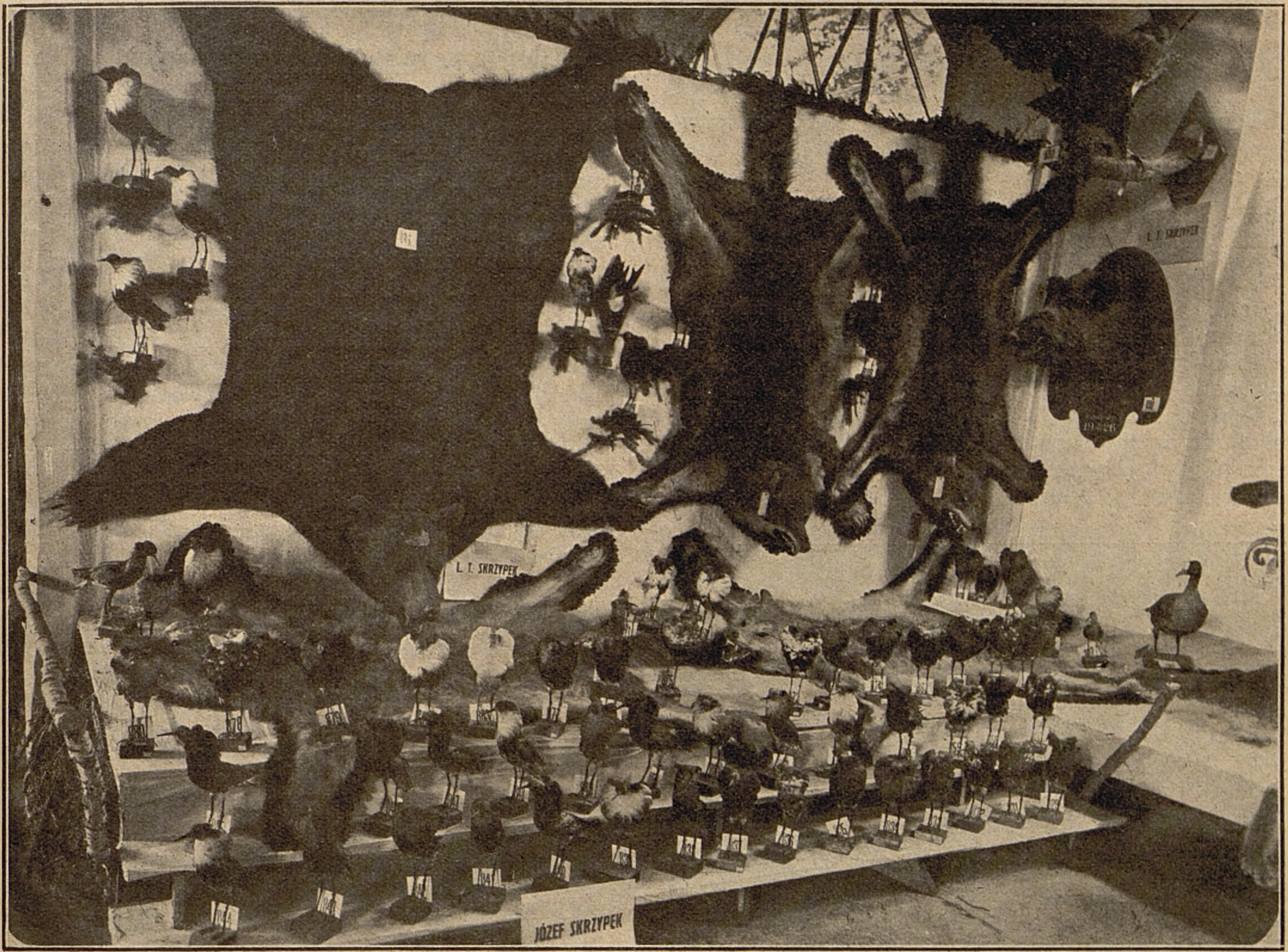
Co się tyczy wieńców jeleni, to w większości wypadków były one reprezentowane pojedyńczo. Z okazalszych zbiorów wymienię kolekcję trofeów przedwojennych spalskich, J. hr. Bielskiego, R. bar. Groedla, A. hr. Stadnickiego (doł. zrzuty) oraz Łowca Wielkopolskiego. Inne trofea, jak np. łby dzików, wypchane wilki, rysie i żbiki, oraz skóry tych drapieżników, były pojedyńczo wystawione w stoiskach większości myśliwych. Skóry królewskiego zwierza naszych kniej — niedźwiedzia — znajdowały się, oprócz stoiska Pana Prezydenta, w stoiskach: L. Cieńskiego, S. Cieńskiego, gen.K. Fabrycego, bar. R. Groedla, S. Kiełczewskiego (2 szt.), J. hr. Potockiego, inż. W. Roszkowskiego oraz L. T. Skrzypka. Co się tyczy specjalnie ciekawych zbiorów, rzadkości krajowych i egzotycznych, przedstawiały się one następująco. Państwowe n-ctwo Bolechów nadesłało na wystawę zbiór drapieżników skrzydlatych, szkodliwych i pożytecznych, składający się z puhacza, sokoła wędrownego, gołębiarza, krogulca, myszołowa zw. i włochatego i pustułki, oraz niezwykle wartościowe z dydaktycznego punktu widzenia, starannie wykonane z gipsu 22 modele tropów zwierzyny łownej. Bardzo piękną i barwną całość przedstawiało stoisko J. hr. Potockiego, w którym mieściły się trofea egzotyczne — skóra tygrysa, 2 łby antylopy kudu i 2 łby koziorożca oraz szereg eksponatów krajowego pochodzenia. Nęcił wzrok myśliwego prześliczny bukiet pardw, jak pozdrowienie dla Lwowa z dalekich rojstów litewskich. Łeb koziorożca białego i 4 pary rogów tej cennej zwierzyny zdobiły stoisko dr. J. hr. Wodzickiego. Wielkiem urozmaiceniem zbiorów prof. R. Wacka, znajdujących się w zbiorowem okazałem stoisku Klubu Myśliwskiego Ponowa, była świetnie spreparowana para bijących się głuszców. Z ornitologicznego i myśliwskiego punktu widzenia b. wartościowym był zbiór kaczorów różnych gatunków gen. K. Fabrycego. (11 szt.) oraz gęsi rdzawoszyjne K. Czerwińskiego. Stoisko hr. A. Stadnickiego cechowała wszechstronność ujęcia eksponatów, gdyż oprócz trofeów myśliwskich wystawione były zrzuty jeleni, zestawienia ubitej zwierzyny oraz fotografje i mapa terenów łowieckich z oznaczeniem miejsc upolowania zwierzyny. Propaganda hodowli bażantów znalazła wyraz w stoisku E. hr. Raczyńskiego, zaopatrzonem w model wylęgarni i woljery, oraz broszury „Hodowla bażantów w lasach dębickich". Oczy widzów myśliwych i przyrodników, i poprostu miłośników piękna zachwycały 2 obfite kolekcje bataljonów o różnobarwnych kołnierzach J. Skrzypka, liczące 50 i 15 szt. Z melanicznych i albinistycznych odmian zwierzyny rodzimej wymienić należy 2 czarne wilki i białą wronę R. bar. Groedla, skórę białego rogacza Z. Winiarskiego, głowę białego rogacza R. Langa oraz głowę białego daniela R. Keutzera.

Z rzadkości faunistycznych wyliczyć warto: sowę uralską Dr. B. de Longchamps, ślepowrony A. Kastnera i M. Grudzieńskiego, dropie bar. O. Brückmanna (wachlarz) i M. Słońskiego, różki kozicy ś. p. L. Kiszakiewicza i gen. K. Fabrycego, orła cesarskiego M. Skarbka-Kruszewskiego, czaplę torga J. Madeyskiego, strepeta T. Zana i raroga B. Stamirowskiego. Oprócz tego na wystawie znajdowały się okazy wszystkich ważniejszych gatunków zwierzyny łownej — liczne głuszce (wypchane i wachlarze) cietrzewie, jarząbki, kulony, kaczki i gęsi różnych gat. i t. p. oraz rozmaite drapieżniki skrzydlate i czworonożne.

Wystawa dzięki ilości i różnorodności nieraz nadzwyczaj cennych eksponatów stanowiła swego rodzaju muzeum myśliwsko-faunistyczne, dające pogląd zarówno na bogactwo naszej fauny zwierząt łownych, jak i na wyniki gospodarki łowieckiej. Szerokie warstwy społeczeństwa miały możność należycie po raz piąty (piąta wystawa) ocenić znaczenie łowiectwa polskiego i przekonać się naocznie, jakie skarby kryją w sobie rodzime knieje, skarby odwieczne, pieczołowicie chronione ręką myśliwego hodowcy, którego poczynania skutecznej wpływają na stan i jakość zwierzyny, niż mało życiowa w wielu wypadkach całkowita ochrona niektórych gatunków.

Oprócz eksponatów ściśle myśliwskich, lub związanych z gospodarką łowiecką, na wystawie lwowskiej znajdowały się dzieła sztuki malarskiej, których tematem są sceny myśliwskie, lub życie zwierzyny. Były to obrazy F. Pautscha (Odyniec. Po polowaniu. Bażanty) oraz 35 obrazów Wł. Korsaka o wysokiej wartości artystycznej i przyrodniczo myśliwskiej, z których najpiękniejsze są mojem zdaniem następujące: — Głuszec kreśli, Łosie w zimie, Wilki w słońcu, Rojst na przedwiośniu. Żórawie nad bagnem, Zima na Naroczy oraz Lis. Równocześnie odbyła się wystawa fotografij myśliwskich, obejmująca 192 zdjęcia, przyczem najliczniej były reprezentowane prace W. Korsaka i W. Puchalskiego. Naogół wszystkie zdjęcia stały na bardzo wysokim poziomie artystycznym i niepodobieństwem byłoby wyliczać wszystkie, które mi do gustu przypadły, wspomnę więc tylko o kilku najbardziej wg mnie udanych, a mianowicie o „Rysiu w puszczy" i „Żórawiach nad moczarem". W. Korsaka. „Spłoszonym rogaczu" i „Polesiu w zimie" W. Puchalskiego, „Zamarłem oparzelisku" kpt. M. Szczepańskiego i „Sarence" inż. B. Farnika.

Wystawa Łowiecka, urozmaicona obrazami i fotografjami, ze stoiskami udekorowanemi dywanami, zielenią i pomysłowo, estetycznie rozwieszonemi lub rozłożonemi eksponatami, wywarła na zwiedzających niezatarte wrażenie, o czem miałem możność się przekonać, słysząc zdania wielu osób, które wyrażały swój zachwyt i podziw. Obszerne pomieszczenie pawilonu było wykorzystane w taki sposób, że nie powstało ani zbytnich zagęszczeń, ani rażących luk. Stoły i pochyłe podja doskonale uwydatniały piękno trofeów, które, jak np. skóry niedźwiedzi, częściowo wisiały na ścianach, a łby spoczywały na podstawach, obrócone ku widzom. Komitet Wystawy Łowieckiej zasłużył na gorące uznanie i wdzięczność całego świata myśliwskiego. Komitet wystawy składał się z Komitetu Honorowego, w skład którego weszli: Be-



Z Wystawy Łowieckiej we Lwowie. Stoisko P.P. Leona i Józefa Skrzypków. Fot. Kordjan, Lwów.

lina Prażmowski Władysław Woj. Lwowski, Bielski hr. Juljusz, Prezes Mał. Tow. Łowieckiego, Chłapowski Konstanty, Prezes Wielkop. Zw. Myśliwych, Fabrycy Kazimierz, Gen. Dyw. Inspektor Armji, Jasiński Michał dr. Dyr. Izby Przem. Handl. we Lwowie, Komierowski Tomasz, Prezes Pom. Tow. Łow., Knothe Herman inż., Leśniowski Stanisław, Dyr. Muzeum Przem. i Roln., Ostrowski Stanisław dr., Prezydent M. Lwowa, Papara Kazimierz dr. Prez. Lw. Izby Roln. Ponikowski Antoni, Prof. Prez. Muz. Przem. i Roln. w Warszawie, Potocki hr. Roman, Prez. Woł. Tow. Myśl., Szarski Marcin dr., Prezes Izby Przem. Handl. we Lwowie, Schafer Władysław dr. Prof., Przew. P. R. O. P., Starzeński hr. Adam, Prez. Krak. Oddz. M. T. Ł. Szperling Wacław, Prez. Wydziału Wykon. P. Z. S. Ł. Szubert Konrad inż., Dyr. Las, P. we Lwowie. Świętorzecki Bolesław, Prez. Tow. Łow. Ziem Wschodnich, Wiese Krzysztof dr., Prezes Łowca Wielkopolsk., Zan Tomasz, Dyr. Państw. Banku Roln. we Lwowie i Komitetu Wykonawczego o składzie: Brückmann bar. Otto, Gepert Gustaw, Kobylański Józef Wł. kpt., Longchamps Stanisław, Mniszek Albert, Puchalski Włodzimierz, Sander Alfred, dr. Skowroński Edward, dr. Słoński Marjan, Sroczyński Tadeusz inż., Ulm Aleksander, Wacek Rudolf prof., Wardzała Jerzy inż., Ziembicki Witold dr. Gospodarzem Wystawy był inż. T. Sroczyński.

Sędziowali przy ocenie trofeów: Fabrycy K. gen., Mniszek Albert Wicepr. M. T. Ł., Sołowij Adam dr. prof. Współpracowali: Barański Włodzimierz, Brückman Otto bar., Owczarzak Tadeusz, Madeyski Jan, Marcinkiewicz Tadeusz inż., Słoński Marjan, Skrzypek Teodor, Skowroński Edward, dr. Sroczyński Tadeusz, inż. Ulm Aleksander. Przedstawicielem Głównego Komitetu Wystawy „Nasze Lasy i Ochrona Przyrody łącznie z Wystawą Łowiecką" był inż. Herman Knothe, który organizował 3 pokazy trofeów i Wystawę Łowiecką w Brukseli.

Kończąc niniejsze sprawozdanie, wyrażam nadzieję, iż w niedalekiej może przyszłości będziemy mieli znowu możność oglądać jeszcze wspanialszą, z jeszcze większym rozmachem urządzoną wystawą łowiecką, która będzie świadczyć o stałej wytężonej pracy myśliwych polskich, dążących do wzniesienia rodzimego łowiectwa na szczyty osiągalnego postępu.

Inż. WŁODZIMIERZ LINDEMANN von FALKENAU.

Szan. Prenumeratorów prosimy o łaskawe szybkie odnowienie prenumeraty na IV kwartał, lub na miesiąc listopad.

Jednocześnie uprzedzamy, że tym, którzy nie odnowią prenumeraty, wysyłka pisma zostanie wstrzymana.

Administracja.

KONTRAST MYŚLIWSKI.

W księdze pamiątkowej p. t. „Myślistwo Wschodnie", wydanej w roku ub. przez Towarzystwo Łowieckie Ziem Wschodnich w Wilnie, mieści się prześliczna nowelka p. Józefa Woyniłowicza p. t. „Kontrasty". Treść nowelki jest niezmiernie prosta. Jeszcze prostszą jest jej geneza — jak chcą niedyskrecje osób znających bliżej Autora. Oto podobno Autor miał odtworzyć w nowelce autentyczny fragment własnego życia myśliwskiego, nic nie dodając do prawdziwego zdarzenia i nic mu nie ujmując. Poprostu — sam przeżył od a do z wszystko, co w nowelce napisał. Może właśnie dlatego niema w nowelce na lekarstwo owej napuszonej, zawsze nieco sztucznej „literackości".. Może właśnie dlatego, choć Autor samej pieśni głuszcowej nie opisuje w nowelce, śpiewa w niej głuszec przenikliwiej, dźwięczniej i piękniej, niż we wszystkich nowelkach o głuszcu, razem wziętych....



Dwa kapitalne byki, 14-tak i 16-tak, ubite w 1935 r. przez B. hr. Tyszkiewicza jnr. w Skotnikach. Fot. B. Daszkiewicz.

Ale jakaż jest treść nowelki? Jak się rzekło — bardzo prosta. Tomasz, któremu traktat ryski odebrał większą część ojcowizny, pozostawiając po stronie polskiej jeden tylko folwark z kawałkiem lasu, wraca z toków głuszcowych z Ordynacji Horodeckiej. W drodze powrotnej ogarniają go różne refleksje. Z punktu widzenia niejednego dzisiejszego myśliwego refleksje te wydadzą się conajmniej dziwne, jeżeli nie wręcz zabawne... Oto Tomasz uskarża się w duszy ni mniej ni więcej, jak na zbytni komfort, zbytnią wygodę polowań wiosennych w Ordynacji Horodeckiej. Nadleśniczówka z łazienką, pokojami gościnnemi i brydżem... Dojazd do większości tokowisk motorową drezyną... „Obrządek wiosennych łowów na króla naszych ptaków ujęty w sztywny regulamin"... Nie tak bywało w rodzinnem Zapolu przed wojną, gdy Tomasz sam zasadzał głuszca, sam obierał miejsce na nocleg, naturalnie — pod gołem niebem, sam rozniecał ognisko dla noclegu... Niestety, tokowisko zapolskie pozostało po traktacie ryskim „po tamtej stronie"...

Śmieszne, nieprawdaż?... Uskarżać się, że siedzi się przy brydżu w ciepłym pokoju i w miłem towarzystwie, zamiast tkwić przy ognisku w pobliżu wilgotnej mszaryny... Uskarżać się, że śpi się w wygodnej pościeli, zamiast marznąć na odludnym, otoczonym mchami ostrówku, leżąc na twardej, nieprzytulnej baranicy, pod którą „łapki" świerkowe grają rolę sprężynowego materaca... Uskarżać się, że do tokowiska dojeżdża się drezyną, że usłużny gajowy podprowadza prawie pod samą sosnę, na której śpiewa głuszec, że cały trud myśliwego polega niemal tylko na podniesieniu strzelby do oka i naciśnięciu cyngla — zamiast brnąć po kolana w wodzie, będąc pozostawionym w mrokach przedświtu tylko własnej inicjatywie, własnej orjentacji, własnej znajomości lasu i rodzaju łowów...

Śmieszny myśliwy z tego Tomasza... Śmieszny i szalony. Bo oto nagle pod wpływem nieodpartych kontrastów myślowych postanawia: „tejże nocy, zaraz po powrocie do domu przekroczy granicę państwową i zajrzy raz jeszcze do oddawna niewidzianego tokowiska głuszcowego w Zapolu, przypomni sobie dawne czasy"... Autor dodaje skromnie, że Tomasz „ryzykował niewiele", bo granica po stronie sowieckiej była słabo strzeżona, a Tomasz teren znał świetnie. Czyżby naprawdę ryzyko nie było wielkie?... W bitwie najbardziej morderczej nie każdy dostaje kulą w łeb — pewien procent walczących zawsze ocaleje... Wyprawa Tomasza do „wrogiej krainy" mniej była ryzykowną zapewnę, niż np. udział w bitwie pod Werdunem, jednak i w tej wyprawie ryzyko życia istniało w pewnym procencie. Bądźmy otwarci! — mając do wyboru dwie ewentualności: 1) brydż, wygodne łóżko i pewny głuszec, albo — 2) mitręga nocna po haszczach zawsze groźnej granicy, nocleg w lesie, głuszec zgoła niepewny i w dodatku jedna setna szansy dostania kulą w plecy — którą z tych ewentualności wybierzemy?

„Szalony" Tomasz wybrał drugą... Za rozkosz usłyszenia kościanych dźwięków pieśni własnego głuszca ryzykował życiem, zdrowiem, wolnością. „Szaleństwo" Tomasza ma we współczesnej terminologji łowieckiej określoną definicję; szaleństwo to nosi nazwę: „prawdziwe myślistwo".

Chcę być bezstronnym. Chcę rozumieć nietylko szaleńczą wyprawę Tomasza, lecz chcę również ocenić sprawiedliwie kwalifikacje gospodarcze ordynata Horodeckiego. Kapryśna fortuna odebrała Tomaszowi tokowisko głuszcowe, natomiast ordynata Horodeckiego obdarzyła całym zespołem wspaniałych tokowisk. Ordynat Horodecki chce umiejętnie korzystać z darów fortuny. Ma tokowików wbród, znacznie więcej, niż jeden myśliwy mógłby bez uczucia przesytu własnoręcznie odstrzelić. Toteż zaprasza na toki przyjaciół i znajomych. W nadleśniczówce robi się na wiosnę jarmark. Co ma robić ordynat? Czy ma, jak chciałby Tomasz, „pozostawić inicjatywę" gościom?... Przy natłoku gości takie pozostawienie inicjatywy groziłoby zagładą pięknym terenom głuszcowym. Znane są wypadki kompletnego „zepsucia" tokowiska głuszcowego w danym sezonie, a nawet nazawsze dzięki temu, że horda myśliwych nie stosuje się do żadnych zasad i prawideł; każdy poluje „na własną rękę", spacerując po tokowisku i z wieczora i z rana, rozpędzając toki i zmieniając mszarną świątynię wiosennych misterjów w głuche cmentarzysko, gdzie tylko gwiżdżą kosy i cmokają drozdy... Wobec natłoku gości ordynat Horodecki musi ująć łowy wiosenne w sztywny, bardzo nawet sztywny regulamin. Musi oznaczyć odstrzał,

przydzielić każdemu myśliwemu tokowisko i gajowego; zaopatrzyć (bo i tak bywa) każdego myśliwca w kompas, by nie stracił orjentacji i nie błąkał się po tokowisku, płosząc głuszce; rozplanować całokształt łowów troszcząc się o wygody i rozrywki dla wszystkich myśliwych, wśród których mogą być i osoby starsze, i panie, i nowicjusze...

Toteż nic nie ujmuję gospodarczym kwalifikacjom ordynata... Ale równocześnie rozumiem i „szaleństwo" i gorycz refleksyj Tomasza. Bo nieraz mówiłem i nawet pisałem, że głuszec ubity „wygodnie" i głuszec trudny, wypracowany osobiście, bez postronnej pomocy — to dwa odrębne rodzaje głuszców.

Ubicie pierwszego jest tylko przyjemnością, ubicie drugiego — stuprocentową rozkoszą myśliwską.

Bywają jednak kontrasty ostrzejsze...

Tej wiosny rozmawiałem ze znanym w Polsce myśliwym, człowiekiem dźwigającym na barkach siódmy już krzyżyk, lecz zawsze, dzięki uprawianiu myślistwa, rześkim na ciele i umyśle, jak rzadko który młodzian. Myśliwy ten polował dużo na głuszce zarówno w Polsce, od Karpat do Kresów i od Tucholi do Polesia, jak i poza granicami Polski. Rozmowa zeszła na temat „śrut czy kula" — jeżeli chodzi o strzał do głuszcza na toku.

— U was na kresach — rzekł mój rozmówca — utarł się pogląd, jakoby strzał kulą do tokującego głuszca miał być nieetyczny. Nie podzielam tego poglądu. Sam strzelam do głuszców wyłącznie kulą ze sztucera z lunetą, strzelam od lat kilkudziesięciu i mimo to nie mam na sumieniu ani jednego głuszca chybionego lub skaleczonego. Uważam, że głuszec jest zwierzyną grubą i, jako zwierzynie grubej, należy mu się zaszczyt strzału kulą.

Odpowiedziałem w te słowa mniej więcej:

— Nie jestem uparty i żadnej, ale to absolutnie żadnej tezy nie forsuję bezwzględnie. Kto jest całkowicie pewny swego strzału kulowego, ten ma prawo strzelać kulą do każdej zwierzyny. Ale — czy dużo mamy takich strzelców kulowych?... Bo jeżeli kwestję: śrut, czy kula—przy strzale do głuszcza—zdecydujemy stanowczo na korzyść kuli, to cóż się okaże?... Oto zobaczymy na tokowiskach naszych cały zastęp „kulowiczów", którzy nam zaczną wyczyniać rekordy kulowe, kalecząc i rozpędzając głuszce. To nie wszystko: już dziś mamy „myśliwych", którzy korzystają z lunety i w pełnem słońcu, po skończonych tokach, strącają z czubków sosen odpoczywające po trudach godowych ptaki, chełpiąc się potem rozkładami po 5—6 głuszców jednego ranka. „Przedświt"— „czar pierwszej pieśni" — „trudność podejścia" — wszystkie te akcesorja odpadają, a pozostaje strzelnica, gdzie rolę tarcz grają siedzące, jak wrony na drzewach, ptaki... Nie będę się spierał, czy głuszec jest grubą zwierzyną, czy nie — bo nie o to chodzi. Chodzi o to, że jest zwierzyną cenną i że może być uśmiercany tylko w sposób, sprowadzający do minimum możliwość skaleczenia. A takim sposobem może być tylko strzał grubszym śrutem n a m e t ę j a k n a j b l i ż s z ą.

Pamiętajmy nieustannie, że sens, cel i urok polowania na głuszce na toku polega nie na strzale, lecz na jak najbliższem, jak najumiejętniejszem podejściu tego ptaka. Jak dobre ulokowanie odpowiedniej kuli przy strzale do dzika, jelenia, lub wilka, tak bliskie podejście przy polowaniu na głuszce stanowi *clou* łowów. Były wiosny, gdy zdarzało mi się podejść tokującego głuszca nie w celu ubicia go (bo już miałem tej wiosny wyczerpany „etat" głuszcowy), lecz tylko, by zbliska nasłuchać się i napatrzeć. Stałem pod sosną ze strzelbą na ramieniu i w ciągu długich minut obserwowałem tokującego ptaka. Znam wielu myśliwych, którzy nieraz czynili to samo. I — kto wie — te minuty, spędzone na „bezinteresownej" kontemplacji, były może przyjemniejsze od chwili, gdy śmiertelnie ugodzony głuszec z łoskotem spadał na ziemię. Nie chcę być źle zrozumiany. Nie propaguję bynajmniej zbytniego sentymentalizmu w myślistwie. Nie twierdzę wcale, że lepiej czyni ten, kto w celach platonicznych skacze do głuszca, a potem wraca do gajówki z pustemi rękami, niż ten, kto głuszca na toku ubija. Chcę tylko powiedzieć, że umiejętne, możliwie najbliższe podejście głuszca na toku daje myśliwemu tyle satysfakcji, że naprawdę strzał staje się czemś drugo-, jeżeli nie trzeciorzędnem, jakąś przysłowiową kropką nad i...

Stary myśliwy słuchał mnie i kiwał głową powątpiewająco. Zamilkłem, bo zrozumiałem, że go nie przekonam. Zrozumiałem, że należy on do doktrynerów myślistwa, którzy, uwierzywszy doktrynie, że „głuszec jest zwierzyną grubą, a przeto należy mu się kula, a nie śrut" — od doktryny tej nie odstąpią ani na jotę. Rozstaliśmy się z nim w przyjaźni, lecz nieprzekonani.



Tropiciel z Lipowicy. Fot. K. Hückel.

Pisałem już niegdyś, że głuszec stał się modny; że ta moda wyszła głuszcowi na zdrowie, gdyż gospodarze tokowisk głuszcowych pojęli wielką wartość swych rewirów i otoczyli w nich głuszce specjalnie pieczołowitą opieką. Głuszec stał się modny — polowanie na głuszca na toku stało się polowaniem „w dobrym tonie". Jak słusznie zauważył niedawno na łamach „Łowca P." jeden z autorów — pierwsze tony pieśni głuszcowej biegną po drutach telegraficznych z kresów do stolicy i innych większych miast, by budzić słodki niepokój w sercach myśliwskich. I oto zaczynają się ożywione pielgrzymki z miast na senne mszaryny, podmokłe bory, łozą napoły zarosłe trzęsawiska... Czy wszyscy ci pielgrzymi są entuzjastami toków głuszcowych na miarę Tomasza z nowelki p. Woyniłowicza?... Napewno, nie! Większości tych pielgrzymów chodzi o pewną *partie de plaisir* w odmiennych nieco warunkach. Chodzi o zadośćuczynienie modzie przez zwycięski powrót do miasta ze „zdobytym" wachlarzem. Chodzi o zdobycie go kosztem jak najmniej-

szych trudów, na tokowisku jak najwygodniejszem, w warunkach możliwego komfortu. Noc przy ognisku w lesie? Podwójna (na zapady i o świcie) wędrówka po śliskich kładkach? Po co? — jeżeli można podejść i ubić głuszca między jednym a drugim robrem brydża! Na dowód, że nie mylę się, przytoczę znany mi wypadek, gdy do majątku, gdzie są trzy czy cztery dość ciasne tokowiska, zjawia się jednocześnie z miasta dziesięciu — wyraźnie dziesięciu — amatorów polowania na głuszce. Gdyby ci sami myśliwi przyjeżdżali pojedyńczo, zapewne każdy z nich wróciłby do miasta z wachlarzem. Ponieważ jednak zjawiają się gremjalnie, więc rezultat był zgóry do przewidzenia: na dziesięciu myśliwych ubito 3 głuszce, a reszta głuszców, przepłoszona i rozpędzona, zamilkła do końca wiosny.

Chociaż, jak rzekłem, głuszec stał się modny, to jednak są myśliwi, którzy śmiało z pod reguł tej mody wyłamują się.

Ubiegłej zimy polowałem w Wileńszczyźnie na szaraki w towarzystwie kilku panów z dalszych stron. Po polowaniu rozmowa zeszła na głuszce. Jeden z panów przyjezdnych skrzywił się:

— Głuszec? A cóż to za zwierzyna?! Strzela się śrutem do siedzącego ptaka na 15 kroków, jak do czapki. To żaden strzał!

Wyrazy „to żaden strzał" były wypowiedziane z niemaskowaną pogardą. A dalej pan ten zaczął dziwy opowiadać o trudnych strzałach do pędzonych kuropatw, lub do śmigających w gęstych zagajach królików...

Czy miałem przekonywać tego jeszcze jednego doktrynera, „doktrynera strzału"? Czy miałem wywoływać wizję Woyniłowiczowskiego Tomasza, który dla tego „żadnego strzału" ryzykował skórą, przedzierając się przez granicę sowiecką, gnany tęsknotą do własnego a utraconego tokowiska?... Czy pan, mówiący o głuszcu, że to „żaden strzał", zrozumiałby wogóle cały czar i głęboką filozofję nowelki Woyniłowicza „Kontrasty"?...

A jednak pan, który powiedział o głuszcu, że to „żaden strzał", mimowoli wygłosił pogląd bardzo słuszny. Głuszec — to istotnie żaden strzał, gdyż nie strzał stanowi istotę tego polowania! Skoro się głuszca podeszło prawidłowo, t. j. na metę możliwie bliską, to doprawdy obojętną jest rzeczą, co się dalej stanie. Gdy się podeszło głuszca na 12—15 kroków, to czy go się strzeli kulą, czy śrutem, czy śrut będzie grubszy, czy cieńszy, czy się strzeli z Hollanda, czy z przedpotopowej sagalasówki, czy strzeli się nawet z pistoletu *a bout portant* *) — czy może wcale się nie strzeli — nie o to chodzi!... My, Kresowcy, usilnie opowiadamy się za strzałem śrutowym do głuszca, gdyż sztucer na tokowisku, zwłaszcza — sztucer z lunetą nastręczyć może dużo pokus. A najbardziej nawet etyczny i najbardziej opanowany myśliwy powinien unikać pokus.

MICHAŁ K. PAWLIKOWSKI

Z KARPACKICH PRZEŻYĆ.

We wschodniej części centralnego trzonu naszych Karpat Lesistych — jeszcze za panowania poprzedniej ustawy łowieckiej Galicji zawiadywałem jednem z najpiękniejszych kniejowo zarządów lasów państwowych o kilkunastu tysiącach hektarów zwartej powierzchni w powiecie dolińskim, w Sołotwinie Mizuńskiej.

Polowanie w całej puszczy Mizunia dzierżawił wtedy jeden z Habsburgów, ale ukrócanie ustawowych szkodników należało do atrybucji lokalnego gospodarza. Naturalne, że najszczersze zamiłowanie poświęcałem grubej faunie głębokich Karpat: wilkom, rysiom i niedźwiedziom.

*

Spore śniegi leżały jeszcze w kotlinie Sopoteja, gdy leśny Holejko dał mi znać, że łania koło starej stajni zrębowej została świeżo rozdarta przez niedźwiedzia. Holejko w myśliwskim fachu tęgi nie był; toteż pełen wątpliwości wybrałem się po południu na miejsce.

Podsuwając się ostrożnie, stwierdziłem, że niedźwiedź, i to o dobrych tropach, rzeczywiście przyjął przynętę. Zarazem jednak stwierdziłem jeszcze raz indolencję Holejki, który wbrew wszelkim pouczeniom nietylko obchodził zbliska buk z przymocowanemi doń resztkami łani, ale czynił to w butach smarowanych dziegciem, czy czemś podobnem, tak śmierdzącem, że ja z ludzkim nosem zostałem tem uderzony!

Nadto wyrył się tamże na śniegu imieniem, nazwiskiem i datą — zapewne aby nie było żadnej wątpliwości co do jego bytności i odkrycia.

Trudno więc o usposobienie gorsze, niż to, z jakiem zasiadłem za ścianą zbutwiałej stajni. Co do powyższych fatalnych okoliczności, to miałem nadzieję na zmianę wiatru ku wieczorowi, która spowodowałaby neutralizację perfum Holejki.

Miejsce to było najpewniejszym przesmykiem grubego zwierza, jaki miałem w swem życiu karpackiem, więc zamiast z miejsca odrabiać sześć kilometrów do domu, wolałem zaryzykować kilka godzin obserwacji.

Gdy słońce znikło za górskim grzbietem Sobola, a sina farba zaczęła nakrywać przeciwległy łagodny spad zrębu, sprawdziłem z zawodem, że prąd powietrzny dotychczas kierunku nie zmienił, niosąc woń od przynęty i śladów Holejki dalej, w złą na dzisiaj stronę — ku zrębowi i dalej w lasy.

Dzięki właściwości miejsca, żaden zwierz okoliczny nie miał położonego tu wabia; ale tym razem wolałbym, by nadszedł raczej pamiętny wczorajszych wrażeń...

W myśli przechodziłem poprzednie tu przeżycia,— gdy, nie zdając sobie nawet sprawy, bym coś wyraźnego usłyszał, zwróciłem całą uwagę na rozległy skłon przed sobą.

Stary zrąb zwolna podnosił swą kulturę; w swej niebieskawej bieli tylko zrzadka był ciemno nakrapiany puszystą świerczyną, nieco gęstszą od linji szczytowej.... Oto zdało mi się, że jeden z krzaków u góry ruszył się! Momentalnie skierowałem nań nieodstępnego turola (czterokrotna maleńka pryzmówka Zeissa) i z drżeniem napięcia stwierdziłem niedźwiedzia! Zstępował zwolna, to znikając za świerczkiem, sam zupełnie doń podobny zdaleka, to wydłużając się ku dołowi....

Po chwili zbliżył się już o tyle, że widoczne stało się spokojne, statecznie powolne stąpanie wpoprzek zrębu, ku łani. Nagle zatrzymał się, zaciągnął głową w obie strony — widocznie wiatru nabierał.... Wtem zerwał się i nagłym ruchem zaczął uciekać w tył! Po kilkudziesięciu susach w galopie, skrył się za drzew-

*) Dwukrotnie zdarzyło mi się w życiu podejść, zresztą niechcący, głuszca w ten sposób, że go ujrzałem nad głową na niskiej sośnie na odległość 1—2 metrów od końca lufy. W obu wypadkach musiałem cofać się „w pieśń", by nie strzelać go z mety tak bliskiej. Gdybym miał z sobą rewolwer, zapewne zrobiłbym z niego użytek (*Przyp. aut.*).

kiem i gdy, niepewny co się z nim stało, szukałem go Zeissem po okolicy, niespodzianie rozpoznałem go stojącego na dwóch łapach przy owym świerczku i pilnie zaglądającego w dół — ku przynęcie. Po chwili, widocznie uspokojony, opuścił się na czworaki i zaczął schodzić z powrotem. Był już niedalej, jak o sto kroków przedemną, gdy nagle obrócił się i znowu zaczął gwałtownie uciekać, by po kilkunastu skokach zawarować w śniegu! Przeleżawszy tak skryty ze dwie minuty, nagle zerwał się, stanął na dwóch łapach naciągnięty, jak tylko mógł, i znowu długo obserwował całą przestrzeń przed sobą.

Zacząłem rozumieć taktykę przemyślnego zwierza, — oto wiatr przyniósł mu podejrzane zapachy, więc, uosabiając sobie to niebezpieczeństwo, chciał widocznie wywabić je z ukrycia, udając parokrotnie ucieczkę. Podstęp ten dał mu widocznie wynik niedość uspokajający, gdyż, opuściwszy się na cztery łapy, zaczął powolnym ruchem krążącym, co chwila zwracając głowę ku dołowi, oddalać się ku wierzchołkom, aż znikł za gęstszem tam zagajeniem.

W pierwszej chwili wziąłem to znowu za manewr celem zmylenia fikcyjnego wroga; jednak mijały minuty, kwadranse — a niedźwiedzia ani śladu; nadchodziła noc. Więc w odruchu zawodu wpadłem na myśl, by dopóki jeszcze coś widać, przy pomocy leżącej tam gałęzi smerekowej, przysypać śniegiem wonne tropy Holejki koło przynęty. W jednej chwili, zamieniając myśl w czyn, wysunąłem się z za ściany i porwawszy leżącą gałąź z okrzosu, zacząłem pracować. Odrobiwszy połowę, znalazłem się po drugiej stronie drzewa, gdy nagle usłyszałem tuż za sobą groźny pomruk — i najwyżej o osiem kroków wysunęła się z gąszczu olbrzymia postać niedźwiedzia! Stał na zadzie, groźnie się ku mnie kiwając i kłapiąc w rwanym z wściekłości poryku szeroką otwartą paszczą.... Przednie łapy trzymał strasznie ku mnie wyciągnięte — już wyczułem jego skok ku sobie! Ale szczęściem, instyktowne prawie, błyskawiczne odruchy nie opuściły mnie.

Zerwaną z ramienia broń nastawiłem prawie w otwartą paszczę — krótki trzask bezdymnego strzału przydłuszył ostatni ryk i zwierz zwalił się, potężnemi chwytami wyszarpując korzenie o krok odemnie.... Odskoczyłem, nareszcie oprzytomniawszy! Na ziemi fala posoki buchała z wolno poruszającej się paszczy...

Pisze się o tem długo, lecz w rzeczywistości wszystko trwało kilka sekund, w których ważyły się dwa życia.....

Z moich spotkań myśliwskich to było najgroźniejsze zaskoczeniem i bliskością starcia.

Cielsko potężnego samca długo jeszcze drgało, a ja, ochłonawszy z nerwowego napięcia, wyczułem całą niesłychana satysfakcję nietylko myśliwego-zwycięzcy w ciężkiej przeprawie, ale i ocalonego człowieka.

Zapadła w międzyczasie zupełna już noc, jakkolwiek świeciła gwiazdami, kazała odłożyć wszelkie dalsze czynności i ostateczne wyjaśnienie sytuacji, zakończonej takim epilogiem.

Wczesnym rankiem byłem już z ludźmi przy zdobyczy i przeprowadziłem obielanie. Kula paradoksu o ciężkim kalibrze 12-ki (56 gr.) poszła w podgardle, przerwawszy tchawicę, arterje i kręgosłup szyjny. Strzał z rzutu padł widocznie w momencie zakłapniętych szczęk.

Był to co do wielkości mój trzeci niedźwiedź, a jego łeb, uwieczniony przez tęgiego na siedmiogrodzkie niedźwiedzie myśliwego, a pierwszorzędnego preparatora wiedeńskiego, Haffnera, jest mi pamiątką tej gorącej chwili.

Powracam do obielania. Gdy ludzie obciągali skórę, sam zająłem się ważną sprawą zbadania związku przyczynowego wczorajszych wydarzeń. Otóż obielanie wykazało także inny postrzał kulą, na „miękkie" i nisko — z przed paru dni.

Stwierdziłem też zaraz w brzegu ściany zrębowej, przylegającej prawie do buka z przynętą, w gęstym podroście bukowym, z którego niedźwiedź się na mnie podniósł, krwawe, zupełnie świeże legowisko; przyszedł więc niedawno — już ranny i to ciężko! Dalsze tropienie wstecz wykazało, że polegując, przyciągnął aż od granic Ludwikówki (od Wełdziż).



Trofeum z opisanego przez autora niedźwiedzia.

Trzeba podziwiać żywiołową wytrwałość, ale i żarłoczność zwierza, które pozwoliły mu w tym stanie zwietrzyć i zainteresować się podłożoną łanią na tyle, że w jej obronie stanął do mnie!

Stwierdzenie tego pierwszego postrzału zmniejszyło znacznie wartość mego tryumfu; musiałem w myśli przyznać, że gdyby taki niedźwiedź był zdrów — to zapewne załatwiłby się ze mną prędzej, niż zdążyłbym się doń złożyć.

Wracam jeszcze do pierwszego misia w zrębie, który dał mi tam lekcję poglądową, jak się wywabia po niedźwiedziemu grożące licho, zanim się zdecyduje na atak lub ustąpienie. Tropy wykazały wyrośniętą sztukę, która nadciągnęła przesmykiem aż gdzieś z pod Choma. Nie zostało tylko stanowczo wyświetlone, który z dwóch niedźwiedzi zajął się ćwiartowaniem łani i tem się zdradził przed Holejką. Postrzałek mało miał na to czasu; z drugiej strony jednak jego znalezienie się za mną wskazywałoby, że znał już wartość łani i objął ją w swe niepodzielne posiadanie.

Pozostało zupełną zagadką, czy pierwszy niedźwiedź ustąpił z pola, wyczuwszy przy padle silniejszego przeciwnika— czy też buty Holejki?....

INŻ. WŁADYSŁAW BURZYŃSKI.

OBŁONIE.

Ze wszelkich rodzajów polowania najwyżej cenię samotną włóczęgę wśród rozległych łąk i bagien. Wobec gorączkowej okupacji resztek naszych lasów — one jedne zachowały swój pierwotny charakter, one pielęgnują wypieraną zewsząd ciszę, one wreszcie dostarczają najwięcej emocyj i niespodzianek. Nawiasem mówiąc, nie chcę im pamiętać, żem dwukrotnie topił się w bagnie i raz we względnie czystej wodzie. Niech tam... zresztą moje najwcześniejsze przeżycia myśliwskie wiążą się właśnie z pewnym kompleksem łąk. Nosiły one nazwę „Obłonie" i stanowiły dość odległy zakątek posiadłości mego dziadka, u którego spędzałem rokrocznie wakacje.



„Martwa natura". Fot. Z. Wysłouch.

Senne, jakby oderwane od rzeczywistoci Obłonie... Olbrzymia, wydłużona kotlina z rzeczką bez nazwy pośrodku, zdążającą poprzez moczary i stawy ku Huczwie. Ze wzgórz sąsiednich, z porastającego je dworskiego lasu roztaczał się czarujący widok bagien, trzcin, łóz, stogów i ciemnych pryzmatów wydobytego torfu. Na przeciwległych krańcach doliny widniały dalekie sioła, wieżyczki cerkiewek, wyniosłe kępy dworów, dwurzędem włoskiej topoli znaczyły się wstęgi dróg — aż zwiewało się to wszystko ledwie szarzejącym otokiem lasów. Dla mojej młodej wyobraźni była to kraina legendarna— i nic dziwnego. Tam przecież ongi znaleziono w stogu gniazdo żmij, tam wilk zadławił kobyłkę żyjącego i znanego mi Safata Szczura (zadławił notabene nocą w dworskim owsie, co było poczytywane za jawny palec Boży), stamtąd szły głuche wieści o koczujących jesienią stadach gęsi, żórawi i jakowychś kulonów...

Szperając czasu nieobecności dziadka w starej ceratowej sofie, dumającej obok biurka w t. zw. „kancelarji" — wydobyłem na jaw i zabytek piśmienniczy — dość zresztą skromny — dotyczący Obłonia. Na oszczędzonej przez myszy szarej i bibulastej karcie kalendarza ręką mego pradziada (jak stwierdziły dochodzenia) nakreślona była wyblakłym atramentem krótka notatka: „a. 1827 — 22 Jul. dubelty na Obłoniu. Przelot dobry — wzięto z legawcem Tytłosem sztuk 27. Bekasów mniey niż zwyczaynie — wzięto sztuk 16".

A więc nadomiar wszystkiego i dubelty!

Na łąkach bliższych dworu, jak na Wierzchowinie i Koryciźnie, gdzie najczęściej grasowałem, spotykałem się nieraz z kszykiem, ale dubelt był dla mnie wielce tajemniczą personą — niemal mitem.

Według informacyj, udzielonych mi półgębkiem przez znajomych myśliwych, dubelty gnieździły się ponoś na Komorowskich błotach, a pozatem pojawiały się tu i ówdzie w czasie lipcowych przelotów.

Z Obłoniem — jak wspomniałem — sąsiadował las dworski, więc pewnego ranka zainterpelowałem gajowego, który, oczekując z meldunkiem na dziadka, sterczał od dłuższego czasu w owej „kancelarji". Był to chłop sążnisty, dziobaty i ponury, jak zapewne las strzeżonych przezeń dąbków. Wysłuchał mnie uważnie, potarł czoło i „zajawił" uroczystym półgłosem:

— Je, paniczu, ptachi różne... jakem kosił tak roku na Obłoniu działkę akurat przed Pietrem i Pawłem, to co, bywało, machnę kosą — wylatuje taki z długim dziobem, krąży nad głową i krzyczy aż strach...

— E — to kulik — zaopinjowałem.

— O-o — kulik — zgodził się pośpiesznie.

— Ale dubelty, dubelty — nalegałem.

— Ja tam ich nie wim, ale musi są i oni, a kaczki to ob tę porę chmarami chodzą po torfowiskach — ino strzelać...

Wkońcu udałem się ze swojem zmartwieniem do starego ekonoma Kornaszewskiego, który kiedyś rzekomo polował. Ale starowina, aczkolwiek odświeżył się właśnie kieliszkiem tarkówki, miał dość mętne reminiscencje na temat dubeltów. Nawet się obruszył.

— Gdzie tu dzisiaj dubelty, panie święty... jakie tu dubelty? Lat temu trzydzieści... w Czerninie... nie... w Dobużku... to workami, panie święty, padam do nóżek... Bach, bach, — i do torby... Bywało, jakeśmy poszli z magazynierem ś. p. Grzechotowskim — a najlepiej po burzy — czut' świt, to ja wezmę 40, a on 39 — nigdy nie mógł mi dać rady... Kule my raz założyli — ot na zbytki — do mojej dziwerówki — to ja, jakem Kornaszewski — i kulami wziąłem dwa dubelty — zapalał się stary.

— A co do Obłonia — ciągnął — hm... widzę tam trzciny, łozy — może i znalazłby z parę, panie święty — ale to trzeba deptać... i pies musi być dobry...

— Jest przecież Karaś — jedźmy — zaproponowałem.

Mój zapał jakoś nie udzielił się staremu wyjadaczowi.

— Karaś? Karaś dobry jest na pasztet, a ja wybieram się na piwo do Abrahama — nie na dubelty. Padam do nóżek — idę do buraków. Nacisnął maciejówkę i postukując laską, żwawo podreptał do swoich zajęć.

Mimo to uparłem się wznowić po 75 latach stosunki familijne z dubeltami. Ściśle 22 lipca jeszcze przed świtem wybrałem się z Karasiem, dość wątpliwym wyżłem, i Gmytrem, chłopcem od stadniny, linij-

ką na Obłonie. Jechaliśmy naprzełaj „ściankami", t. j. wąskiemi dróżkami wśród chłopskich zagoników i chociaż żyta stały już w półkopkach, ale innych zbóż wystarczyło, aby nas skąpać w porannych rosach od stóp do głów. Karaś, zasadniczo rudawy i pasiasty, nabrał od spodu złoto-różowych kolorów i zupełnie uzasadniał swoją nazwę. O wschodzie słońca mijaliśmy śpiącą jeszcze gajówkę. Wilgi odzywały się swym melodyjnym głosem, gołąb grzywacz z klaskaniem skrzydeł zerwał się z przydrożnego dęba, ale ściana lasu tonęła jeszcze w błękitnawym tumanie. Zewsząd pachniało grzybami i macierzanką. Karaś umknął w leszczyny i po chwili ozwało się jego urywane, pełne bezsilnej rozpaczy naszczekiwanie. Słychać było wyraźnie: — Zatrzymaj się, poczekaj, zaklinam cię!

Gonił na oko, ale snać zając odczuwał wybitną niechęć do bliższej konfidencji i odsadził się znacznie, bo głos Karasia wkrótce nabrał brzmień wzdychająco-elegijnych, aż zatarł się gdzieś w poągwarze rozbudzonego lasu. Gmyter, dość kudłate i senne indywiduum, ożywił się nieco i machnął wesoło batem:

— Wio, Lipa!

Gniada Lipa potrząsnęła porozumiewawczo głową i ruszyła żwawiej po leśnej, pełnej wybojów i zielonych kałuż, trybie. Takeśmy dotarli do skraju lasu i źródła, sączącego się tuż w progu Obłonia. I ono samo wionęło ku nam swoim rzeźkim oddechem. Nad mokradłami włóczyły się jeszcze mgły. Olbrzymie stado szpaków kłębiło się i zwijało za rzeczką. Tu i ówdzie tkwiły nieruchomo bociany. Uwolniona od chomąta Lipa tarzała się w trawie, rozkosznie wzdychając, zaś Gmyter ukradkiem zerkał na boki, jakby poszukując dostatecznie zacisznego miejsca do drzemki. Karaś wyłonił się wreszcie z zarośli, usadowił się na wzgórku i, merdając ogonem, przyglądał mi się z pod oka. Miał pewne wątpliwości co do swojej konduity i dlatego wolał trzymać się narazie zdaleka. Musiałem go udobruchać i nakłonić do wspólnych działań, choć nie było to bynajmniej pedagogicznem. Ale cóż robić?

Od owego źródełka (po miejscowemu „krynica") teren obniżał się ku rzeczce, samo zaś źródełko w myśl przysłowia: „skoro wejdziesz między wrony..." nieznacznie przeistaczało się w błotnisty strumyk, pełen niezapominajek i rdzawej wody. Mietlica i tymotka, przetykane czerwoną i białą koniczyną, ustępowały miejsca skrzypom i mchom rudo-zielonym. Moje dziurawe kamasze wnet przemokły i jęły wydawać przy pogrążaniu się w bagno wielce niemiłe odgłosy, przypominające okrzyk zrywającego się bekasa — tylko nieco przeciąglej: — kszy-yk, kszy-yk! Nad rzeczką polatywały rybitwy — jedna z nich zbliżyła się miarowym ruchem swych długich skrzydeł i długo ważyła się nad nami, kręcąc swą jedwabistą główką i pokrzykując metalicznie. Odradzała coś żałośnie, uprzedzała o czemś niewymownem i tajnem. Wszechobecny żywioł łąk obejmował mnie, przenikał i wchłaniał. W przyziemnych prądach i podmuchach wałęsały się nocne, odurzające opary gnuśnych rozlewisk. Samotne trzciny, górujące nad oceanem igiełkowatych skrzypów, słaniały się, jakby bijąc korne pokłony i rozkładając ręce w głębokiej trosce i niepokoju. Ich nikły pogłos, podchwytywany przez skrzypy, zrazu odlatywał i ginął w oddali, ale oto znów powracał po stokroć wzmożony — już nie jako głuchy poświst, ale — rzekłbyś — dudnienie tabunów dzikich koni, czy odległych nawałnic. Gdy tętent nacichał, wtedy słyszałeś dokoła pełne tajemniczego znaczenia szepty i urywane słowa... Dawne dzieje opowiadało mi Obłonie.

Obok rzeczki ciągnęły się sadzawki, utworzone wskutek wybierania torfu — małe i większe, płytkie i głębokie. Porastało to wszystko sitowiem i tatarakiem. Z jednej takiej Karaś wypłoszył bez uprzedzenia stadko kszyków. Tu zachowałem się z rozpaczliwym komizmem: wystrzeliłem z obu luf niemal z pod pachy. Kszyki rozleciały się na wszystkie strony, jak przygarść liści, natomiast z lustra sadzawki podniosły się z kwakaniem dwie piękne krzyżówki, a z sąsiedniej rzeki chmura cyranek. Odleciały bez strzału, wsiąkły w horyzont... Drżącemi z gorączki rękami nabijałem swoją pistonówkę, rozsypując proch i śrut w trawę, niby w ofierze złośliwym bóstwom bagien. Zbolały i nieszczęśliwy usiadłem na trawie suszącego się torfu. Karaś gdzieś się zapodział. Z zadumy wyrwały mnie jakoweś melodyjne, fletowe tony, spływające od góry. Wprost na moje stanowisko waliło duże stado ptaków. To chyba owe kulony — przeniknęło mi przez myśl. Już są nademną... zoczyły mnie — część się rozpierzchła, część wzbiła się ku niebu. Znów dwa pośpieszne i bezskuteczne strzały... czad smętku... posiew śrutu...

To, co zaszło w najbliższej chwili, było najzwyklejszą czarną magją. Przede mną stała jeszcze jedna sterta torfu. Skądś z za rzeczki pojawiła się czapla, widocznie zmylona echem mych strzałów. Przeciągała nisko nad łąką i naraz zapadła o pięć kroków, tuż za ową stertą. Na mój widok drgnęła, przysiadła i nagłym ruchem skrzydeł jakby wyszarpnęła się z niewidzialnych pęt, czy rąk. Wystrzeliłem naoślep, niby w obronie zagrożonego życia. Pozostała mi wizja jej okrutnych, żółtych, rozszerzonych strachem oczu. Bankructwo zupełne, druzgocące. Przepadło wszystko! Nigdy nie będę myśliwym. Trafienie do czegokolwiek wydawało mi się problemem nieosiągalnym. Głucha rezygnacja...

Dojrzałem za rzeką mego Karasia. Ten bawił się świetnie. Niezmordowanie wachlując się ogonem, węszył, podchodził, rozpłaszczał się w stójce i coraz to spędzał jakiegoś ptaka, poczem gonił go do upadłego. Jeden z tych ptaków zapadł z mojej strony rzeczki. Nabiłem dubeltówkę i jąłem go wydeptywać. Naraz ze specyficznym furkotem wyleciał z trawy. Ciągnął nad łąką uczciwie, bez żadnych bekasich matactw i sztuczek. Strzeliłem — spadł. Ciężki, siemieniasty pod spodem, długodzioby, niemal dwukrotnie większy od kszyka. — To dubelt — objawiło się we mnie. A więc za rzekę! Bez namysłu wkroczyłem w grzęzawę i zapadłem w nią powyżej pasa. Unosząc nienabitą broń ku górze, wydostałem się na drugi brzeg. Tutaj dopiero dowiedziałem się, jak wygląda zła dola myśliwego. Wszystkie naboje, znajdujące się bądź w pasie, bądź w kieszeniach, przemokły do szczętu. Były to rurki blaszane z przegródką pośrodku, mieszczące proch i śrut i zatkane pakułami z obu stron. Podszedłem do Karasia, który właśnie buszował w płytkiej sadzawce. Zaraz z brzegu z pod nóg poderwało się kilkanaście owych tajemniczych dubeltów, a później co krok niemal... Karaś ganiał jak opętany... Cóż robić? Wracać do domu po świeże naboje? Imieniny babki — to raz, zresztą już późno... Powróciłem do linijki, rozbudziłem chrapiącego Gmytra i sięgam do pasa, chcąc mu sprezentować swoją zdobycz. Niestety, tylko główka dyndała na troczku, reszta tkwiła gdzieś w rzece, czy sadzawce. Obłonie zadrwiły ze mnie... Po przyjeździe do domu, poniżej notatki pradziada, zapisałem:

„A. 1902 — 22 Jul. nalot dubeltów na Obłoniu b. duży — wzięto z Karasiem 1".

Nazajutrz wybrałem się ponownie na Obłonie, ale dubeltów już nie zastałem. Poszły gdzieś dalej na południe.

EDWARD NIEDZIAŁKOWSKI.

WRAŻENIA Z BRYTYJSKIEJ KOLUMBJI.

(Ciąg dalszy).

Zbliżał się już okres, kiedy musiałem otrząsnąć się i pomyśleć, jak rozłożyć sobie odpowiednio czas, aby zdążyć na okręt, który bądź z Nowego Yorku, bądź z Halifaxu, zawiezie mnie do domu. Chciałem jeszcze zakosztować rozkoszy myśliwskich w Okanagen i na wyspie Vancouver i zapolować na pumy z psami. Wyjątkowo otrzymałem również pozwolenie, jak o tem poprzednio była mowa, na odstrzał drugiego łosia. Miałem daleką drogę konną do Prince George, Barkerwille lub Quisnell, skąd mógłbym autobusem dostać się z powrotem do Vancouver.

Dobrze mi się jednak działo u Magdziaka. Każdy szczegół, każda wycieczka z nim, samo bytowanie w tej puszczy obfitowało w tak niecodzienne dla mnie wrażenia, że ze smutkiem myślałem o tem, iż przecież musi wreszcie nastąpić ten moment, kiedy nadejdzie baśni tej kres.

O brzasku dnia lub zmierzchem, na topielach, pokrytych śniegiem, na rozległych *„medow“* lub *„swamp“*, na skraju lasu, przy smutnych, zamarłych brzozach, przy kryształem szronu pokrytych łozinach, widywałem po kilka lub kilkanaście sztuk łosi, jak muskając chrapami, wolno, nietrwożone byki, łosze i cielęta, tworząc malownicze grupy na jasnych badylach, garbonose, czernieją plamami ciemnych swoich grzbietów.



Bóbr kanadyjski.

Kilkakrotnie, mając zawsze na uwadze kierunek wiatru, zbliżałem się do nich na odległość, z której gołem okiem mogłem rozróżnić ilość pasemek i rozpiętość łopat. Chciałem wziąć drugiego łosia, któryby rozmiarami swoich łopat przewyższał strzelonego uprzednio. Pod tym względem jednak prześladowało mnie niepowodzenie. Kiedy świtem jednego dnia zauważyłem na polanie byka, którego łopaty wprawiły mnie w zachwyt i wewnętrzne drżenie, łoś ten, z niewiadomych dla mnie przyczyn, niepłoszony i podchodzony przeze mnie z nadzwyczajną ostrożnością, na dużą, bardzo dużą odległość ruszył i długim, sprężystym skroczem skrył się niestrzelony w pobliskiej gęstwinie.

Nie pomogło tropienie, nie pomogły podchody i stanowiska na przesmykach — zwierz ten był dla mnie stracony. Wróciłem po dwudniowej wycieczce bez rezultatów. Takiego byka już więcej nie widziałem. Był to okaz o fenomenalnej na warunki kanadyjskie długości pasemek. Tutejszy bowiem przedstawiciel łosia posiada przy kapitalnie rozwiniętych łopatach raczej garbki kilkocentymetrowej długości na obrzeżeniu swego poroża, niż pasemka, jakie spotykamy u naszych łosi, lub u skandynawskich.

Nieodżałowana to dla mnie była strata. Magdziak, który znał puszczę i okolice jej nawylot, twierdził, że sam po raz pierwszy widzi byka tego typu. Nic nie pomogło. Marzłem rankami, siniałem z mrozu o zmroku, z nóg padałem wyczerpany. Byk ten był dla mnie nie do zdobycia.

Przez niego niejednokrotnie straciłem okazję upolowania łosia, przewyższającego o cały Everest tego, którego już miałem, i wreszcie tego, którego w rezultacie, zbity i wyczerpany do ostateczności, zdobyłem z końcem mego pobytu w gościnnych progach trapera.

Pogoń moja za „rekordem“ drogo została opłacona. Drugi łoś strzelony przezemnie był znacznie gorszy od ubitego przy Kidzie. Brakło mi już jednak czasu, a nie chciałem ryzykować, aby w powrotnej drodze, ciągnąc ku wybrzeżom Fraser River z tych okolic, które mają ustaloną opinię co do stanu i wielkości łosi, postawić na kartę możliwość ewentualnego spotkania z kapitalnym bykiem, któryby rozpiętością łopat znacznie przewyższał ustrzelonego w okolicy Yalakom. Było to wprawdzie zupełnie prawdopodobne, ale jednak było ryzykiem, na które nie chciałem się narazić przy zbliżającej się coraz gwałtowniej zimie.

Obecnie już nawet w dolinach dotkliwiej i częściej dawał sie odczuwać ten suchy, ostry mróz, który na odkrytych haliznach, lub też podczas przekraczania grzbietów górskich, czy też marszu po stromiznach, zaprawiony porywistym, stale dmącym wiatrem, czynił polowanie w takich warunkach bardzo uciażliwem, a nawet niebezpiecznem. Wspomnienie widoku lśniącego łojem, opuchłego ucha Kidowego było jednak pewną przestrogą dla mnie. Ponadto zachowanie Larsena i Joe, tych starych wygów, znających doskonale ostrość tutejszej zimy i kaprysy miejscowej aury, wyraźnie wskazywało na to, że nie należy bynajmniej lekceważyć faktu kilkonastodniowej drogi powrotnej w strony wiecej osiadłe, a którąby się znacznie przedłużyła, gdybym w międzyczasie chciał polować.

Zresztą, bedac karmiony i serdecznie podejmowany przez Magdziaka, chciałem chociaż cześciowo okazać mu swoją wdzieczność przez zostawienie mięsa z ubitego zwierza. Był to zreszta jedyny dla mnie sposób na dopełnienie choćby w drobnej mierze śpiżarni pani Magdziakowej, mocno nadszarpniętej ze świeżego mięsa przez mój i Ole pobyt.

Byliśmy stale w ruchu, czyszcząc płuca nieskażonym żadnemi wyziewami powietrzem górskiem, toteż nie trzeba zbyt bujnej wyobraźni, aby zrozumieć, jakie spustoszenie mogły poczynić w zapasach naszych gospodarzy dwie nadliczbowe pary zdrowych szczęk, z których każda stanowiła własność osobnika o wadze znacznie przewyższającej... piórkową.

Gdy pomyślę o koncertach mojej żarłoczności, jestem przekonany, że nawet Gargantua w porównaniu ze mną okazałby się wówczas ślepem, jękliwem szczenięciem...

Cóż to były za uczty — kiedy kawał, kiedy szmat mrożonego mięsa dusił się w kociołku z tej samej wielkości bryłą masła, w którą mnie zawsze zaopatrywała podczas moich wycieczek gościnna gospodyni. Z jakąż nieprawdopodobną szybkością znikał on podczas wieczerzy przy ognisku, podczas licznych moich wypadów, przedsiębranych z farmy Magdziaka; znikał doszczętnie, dymiący i smaczny, a „tłum“ blaszanek, po konserwach owocowych, które nieodmiennie kończyły nasze posiłki, znaczył to „pożerowisko“.

Pamiętam razu pewnego, kiedy, tropiąc z Magdziakiem gąszczem ów mit łosi, dla ulżenia zostawiłem torbę, w której miałem sól, cukier, mąkę i kawę. Zapędziwszy się tego dnia dość znacznie, nocowaliśmy w lesie i bez najdrobniejszej przyprawy zamrożone

mięso udusiliśmy w maśle. Woda, topiona ze śniegu na wrzątek, wraz z niedającem się usunąć igliwiem, a przez to zaprawiona lekkim zapachem żywicy, służyła nam jako napój, po objedzeniu się do syta tą potrawą. Smaku jej nigdy nie zapomnę.

Możliwe, że dnia tego byłem wyjątkowo wygłodniały, możliwe, że siły, krańcowo wyczerpane uciążliwym marszem, wymagały restytucji w tej postaci, w każdym razie smak i zapach tej wieczerzy był jedyny w swoim rodzaju i niezapomniany. Posiłek ten, *souper*, jak go szumnie nazywał Joe, został spożyty przy blasku miesiąca na polance, gdzie pełny, pucułowaty księżyc był dla nas latarnią, koronka lśniącego puchu śnieżnego na gałęziach — ozdobą naszej sali bankietowej, a tęskny, płaczący, po babsku zawodzący skowyt i jęk kujotów — jedynym odgłosem życia. A poszum górą płynącego wiatru, który strząsał z gałęzi syczący, zmarzły, sypki i suchy śnieg, tak wspaniale koił, szepcąc do snu legendy i tajemnice kniei, gór, urwisk i skał, ich smutki, tragedje i radości!...

We wspólnym worku od spania, przy „nadji", wpatrzeni i wsłuchani, nie śmieliśmy nawet ust otworzyć, aby nie zakłócać czaru tych odgłosów. Oczekiwaliśmy dalszych dziejów, poświstem wiatru opowiadanych w tej puszczy, ułożonej na długi, kamienny sen zimowy w oczekiwaniu na gorące promienie słońca, które wiosną, przedzierając się przez gąszcz, znów powołają ją do życia; znów ją wskrzeszą i napełnią radosnym rozgwarem ptaków, tych chórzystów leśnych, bełkotem zwolnionych z oków lodowych strumieni i wód, szmerem fal, omywających brzegi licznych jezior.

Zbudzi wiosna knieję, góry, upłazy i osypiska, tchnie życie w martwe kłody pni wiatrołomów, które, muskane promieniami genjusza słonecznego, na trupach swoich puszczą pędy i, użyźniając próchnicą swoich cielsk ziemię, pozwolą młodym, drącym się ku światłu latoroślom napełniać świat ten — prabór — orgją zapachów i głosami życia...

(C. d. n.). M. G.

PLAGA WILKÓW NA HUCULSZCZYŹNIE.

Ten piękny i uroczy zakątek pomiędzy Czarnym a Białym Czereremoszem, otoczony malowniczemi połoninami i lasami, mimowoli przykuwający oko turysty i proszący się o umieszczenie go na płótnie malarskiem — zamieszkały przez dobroduszny i poczciwy lud huculski — zdawałoby się, że ciszy nic tam nie mąci. A tymczasem w ostatnich latach gnębi go plaga wilcza, która wcale nie maleje, ale, powiedziałbym, przybiera obraz klęski. Wilki, mimo corocznych obław, ciągną stadami od strony Czechosłowacji i Rumunji, podchodzą pod przysiółki i wsie, robiąc olbrzymie szkody wśród inwentarza, wypasającego się w lecie na połoninach, a w zimie schodzą do osiedli huculskich, napastując na „zimarkach" zwierzęta i ludzi.

Trochę statystyki zilustruje dokładnie listę strat, poczynionych przez nieproszonych przybyszów z południa, jak również stale zamieszkałych „obywateli" lasów i połonin.

W sezonie wypasowym 1934 r. wilki wyrządziły następujące szkody (pierwsza cyfra po nazwie połoniny oznacza zabite owce):

Grupa połonin czywczyńskich: Bałasynów 4, Rotundut 8, Łostyn 4, Mokryn 4, Popadja 20 i 2 konie, Czywczyn (cały) 24 i 1 koń, Czywczynasz 2 i 2 konie, Czurus 4 i 1 źrebię, Starostaja fundacyjna 10, Starostaja Waszyłyszczukowa 10, Kierniczny 7, Łedeskuł 7 i 1 jałówka, Menczołyk Ruski Dił 6. W grupie tej ponadto ryś zabił na Albinie 9 owiec, zaś niedźwiedzie zabrały na Regielskiej krowę i jałówkę, na Mokrynie cielicę.

Grupa Ludowańska: Czorna 4, Hadżugi 20, Szeroka 10, Hostawce 50 (jednego dnia zginęło 7 owiec), Dukania Mała i Stefulec 30, Dukania Wielka 3 jałówki, Tarnica z Gropą i Riżą 100 i 10 źrebiąt, Łukawice Koczerhana 22, Łukawice działki 50, Ozirny mały 14 i 2 konie, Pochreptyna 17 i 1 źrebię.

Grupa Czarno-Hory: Maryszewska Wielka 14, Maryszewska Mała 6, Pohorilec Wielki 4, Szuryn 5, Wesnarka 6, Koźniewska 4, Foresok (Kukuł) 15, Kostrzyca 6.

Grupa Mikuliczyńsko-Żabiowska. Hordia 17 i 1 jałówka, Pryhodyszcze 5, Toustyj 4, Hyga 8, Capul 8 i 1 źrebię, Szekiełówka 16, Germanówka 6, Bubeńska-Kizia 12, Za Kaminie 5 i 1 jałówka (w roku 1933 — 8 owiec i 1 jałówka).

Grupa Skupowej 30.

Na innych połoninach straty w inwentarzu były również, ale mniejsze. Dowodem rzadkiej zuchwałości wilków był następujący wypadek: na połoninie Popadji napadł zgłodniały wilk na owcę i mimo, że pastusi bili go kijami, wcale nie chciał ustąpić. Wilki napadały na owce w kierdelach i, wmieszawszy się w stado, porywały najlepsze sztuki, wiele owiec przytem kalecząc. Podane straty odnoszą się do wypadków wyłącznie takich, gdzie po zaginionej owcy pozostał jakiś ślad („poszczyk") najczęściej znak właściciela, wycięty na uchu owcy. Straty na połoninach w roku 1934 były o wiele większe, niż podaje statystyka huculska. Na Czywczynie przepadło ponadto

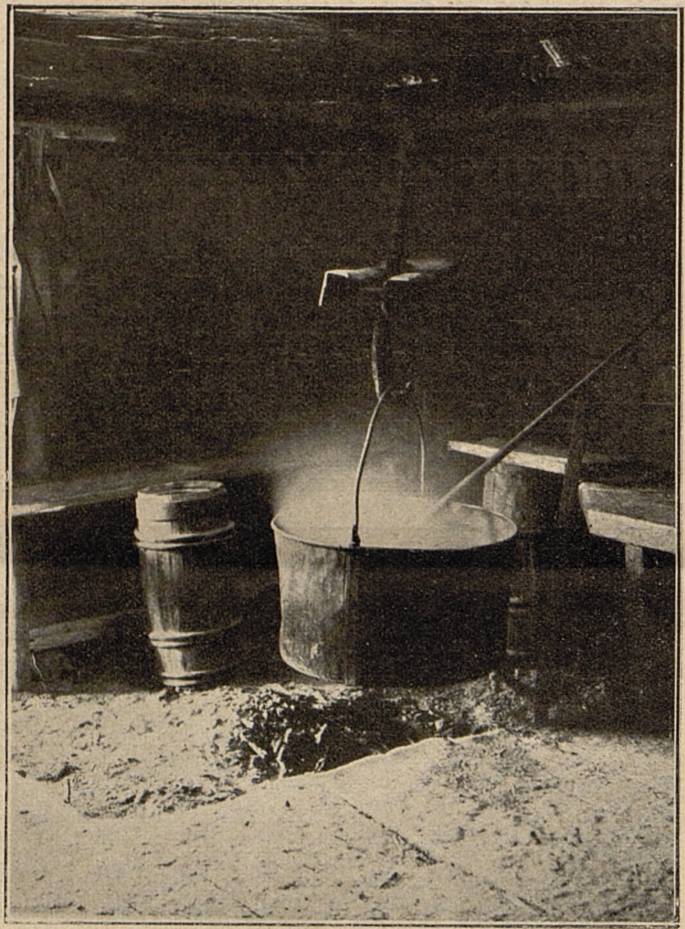


Widok z Małego Stefulca na potok Popadiniec i połoninę Popadję. Miejsce wyjątkowo ulubione przez wilki. Wzdłuż potoku co roku w zimie odbywają się polowania na zasiadkę.
Fot. Prof. Dr. J. Rostafiński.

16 owiec, w Dzembroni 16, pod Młaczkami 8, na Motuzi za Didyczem w Karmazach u deputata Haweczuka 30, w okolicy Mikuliczyna w tymże roku wil-

ki zjadły 500 owiec, wiele cieląt i źrebiąt. W dniu 6 listopada 1934 r. w Brusturach 6 wilków w biały dzień zabrało jałówkę, a pod Rokietą na polu „Jaworowa", niedaleko Osław Białych, 8 klm. od Delatyna, napadły na kozy, z czego wzięły 7 sztuk, a 11 pokaleczyły śmiertelnie, że je musiano dobić.

W okolicy Białej Kobyły, koło Żabiego i Kosmacza grasuje od kilku lat stara, kulawa wilczyca w towarzystwie 5 wilków. Huculi podają, że w ciągu 2-ch ostatnich lat padło już 300 owiec. Według zebranych danych przez d-ra P. Kontnego, lista strat przewyższa już 1500 owiec, 50 sztuk bydła rogatego i 30 koni w różnym wieku. Według relacji w poszczególnych rewirach górskich lasów państwowych, raportują corocznie o kilkunastu wypadkach rozszarpania jeleni — w rewirze Lucza, w nadleśnictwie Jabłonów koło Kołomyji zimą 1933/34 — 4 wilki zjadły 18 sarn.



Nasz „hotel" na połoninie Popadji. Jest to szałas, który jednocześnie służy do wyrobu bryndzy, za nocleg i „salon recepcyjny" Hucułów. Fot. Prof. Dr. J. Rostafiński.

O śmiałości i sprycie wilka mogłem się sam naocznie przekonać. We wrześniu 1934 roku prowadziłem badania nad wartością wypasową połonin, zrobiłem kilkudniowy raid konny przez połoniny. Niespodziewany deszcz i szaruga zmusiły nas do zatrzymania się w bacówce na połoninie Popadji, w paśmie czywczyńskim. Na połoninie tej znajdował się kierdel owiec, stado krów i spory tabun koni huculskich. Wszystko to pasło się z powodu niepogody w pobliżu szałasu. Szałas i koszary strzeżone były przez watahów i psy, które nie pierwszy rok odbywały służbę wartowniczą na połoninie, były więc dobrze obeznane ze zwyczajami wilków huculskich. Na noc krowy i owce zegnano do koszar, konie, które się zawsze pasły poza obrębem koszar, pozostawiono i tej feralnej nocy poza ogrodzeniem.

Noc była wyjątkowo ciemna i wietrzna, flagi deszczowe przechodziły co chwila, lejąc strugi dżdżu, wszystko co żyło, schroniło się do koszar i zagród, konie zbiły się pod bacówką, oczekując upragnionego ranka. Watahy, pilnujący dobytku „ludzkiego", trąbili na uciętej flaszce; krzykami i zawodzeniem starali się dać znać wilkom, że pilnują.

Za współtowarzysza noclegowego, prócz Hucułów, mieliśmy małe szczenię owczarka, importowanego z Rumunji, które zawarło z nami szczególnie szczerą przyjaźń, staraliśmy się jednak na noc ze względu na licznych jego współlokatorów, wytransportować je z szałasu. Lecz pies uparcie wracał, przedostając się przez szpary w podłodze. Tej nocy owczarek był niespokojny i skomlał żałośnie, wywołując tem niemiłe objawy złego humoru zarówno u nas, jak i u Hucułów.

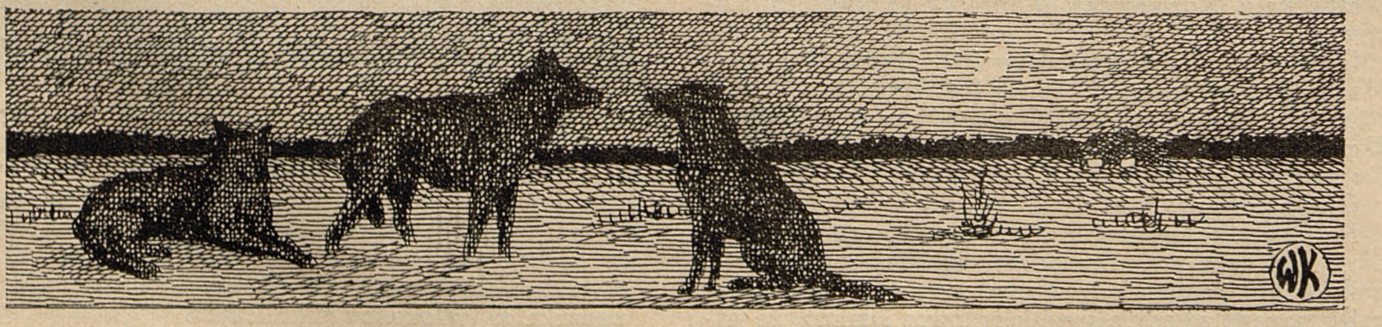
Świt wrześniowego poranka, wyjątkowo ładnego, postawił na nogi wszystkich niewyspanych mieszkańców szałasu, krzyki Hucułów, że „wołk wził żydowskoho konia", zmusił nas do szybkiego zajęcia się ranną toaletą. Na stoku góry, wśród zrębów, już gołem okiem można było zobaczyć białą plamę. Był to zarżnięty siwy, dobry i silny wałach huculski. Wilk-pojedynek podszedł w nocy pod tabun i odegnał konia, starając się go odpędzić jak najdalej od szałasu, a przedewszystkiem wypędzić na zręby i stok góry. Zręby były odległe od bacówki o dobre pół kilometra — taką drogę przedśmiertną musiało odbyć nieszczęśliwe zwierzę.

Ślady łap wskazywały na sztukę wyjątkowo dorodną. Struga krwi znaczyła dużą przestrzeń wśród pniaków, a stratowana ziemia wskazywała na stoczoną zaciętą walkę, w której koń uległ. Wilk przegryzł krtań, a następnie wyjadł cały zad. Zadziwiała nas, jak i Hucułów, odwaga i śmiałość wilka, który, mimo palących się ogni, kręcących się i pilnujących pastuchów, zdołał odpędzić konia od stada. Zdziwiła nas czujność małego owczarka, podczas gdy psy, pilnujące owiec i krów, milczały. Huculi tłomaczyli to strachem, jak również wiatrem, wiejącym od strony trzód. Zresztą psy te niewiele mogły pomódz, bowiem były to małe i słabe podwórzowe kundle, nie mające nic wspólnego z owczarkami.

Przemierzając spory szmat połonin, nie miałem sposobności ani razu zobaczyć typowego owczarka, były to przeważnie psy różnego pochodzenia, nienadające się do walki z wilkami. Należałoby koniecznie dla ochrony huculskiego dobytku propagować hodowlę psów owczarskich, zaprawionych do walki z wilkami.

Takie psy mają Huculi, zamieszkali po stronie Czechosłowacji i Rumunji.

J. KRL.



DOBRE I ZŁE.

Już wiemy dobrze, co zdolni są wypisywać w przeróżnych, częstokroć poważnych wydawnictwach, przygodni krytycy, lub też przygodni „rzecznicy" łowiectwa. Rubryka ta cierpliwie omawia dużo, bardzo dużo naiwnych bezsensów, nieraz, co gorsza, szkodliwych informacyj i poglądów, lub wreszcie nauzasadnionych napaści.

Niejednokrotnie szkodaby może było czasu na poświęcanie uwagi wszystkiemu temu *złemu*, uważam jednak, że myśliwy *myśleć* winien o łowiectwie i jego losach, zmaganiach się z przeciwnościami i walce o jego byt nietylko na terenie łowiska, ale wiedzieć także, co o łowiectwie mówią inni, choćby „niewtajemniczeni", lub wyjątkowo wrogo nastawieni pseudo-społecznicy i jak dalece obce im są przedewszystkiem techniczne wiadomości z dziedziny łowiectwa, a także wytyczne idee i uznawane prawie już powszechnie gospodarcze jego wartości.

Sądzę, że godzą się z moim poglądem na celowość niniejszej rubryki wszyscy ci, którzy *myślą* o łowiectwie prawdziwie, którym leży ono naprawdę na sercu.

To, czego przegląd po stronie *złego* dawałem tutaj dotychczas, jest jakby dziecinną nieudolnością w naśladowaniu starszych, w porównaniu do tematu, który dziś z obowiązku sprawozdawcy tej rubryki poruszam.

Istnieje w Warszawie zupełnie młode czasopismo pod nazwą „Myśl Polska". Mniejsza o to, kto ją redaguje i kto na jej łamach pisuje. Mniejsza również o jej zabarwienie i charakter. Zdawałoby się jednak, że w dzisiejszych trudnych warunkach pod względem utrzymania równowagi budżetowej w każdem przedsiębiorstwie i temu czasopismu zależeć powinno na tem, aby swój poziom intelektualny postawić jak najwyżej. Jednym z zasadniczych warunków do tego celu, jak zresztą w każdem wydawnictwie prasowem — jest dobór autorów w tym choćby kierunku, iżby każdy z nich posiadał nietylko zdolności dziennikarskie, ale przedewszystkiem z n a j o m o ś ć p r z e d m i o t u.

Autor zamieszczonego w „Myśli Polskiej" z dnia 1 września artykułu p. t. „O zmianę ustawy łowieckiej na Polesiu", p. St. Podgórski, nie wykazuje najmniejszej znajomości łowiectwa wogóle, nadto jest laikiem jako społecznik i wreszcie poglądy wygłoszone w tym artykule zakrawają na kpiny z powagi ustaw państwowych i praworządności wogóle, a tendencje tych poglądów wyglądają tak, jakby były opłacone przez naszego najbliższego wschodniego sąsiada.

Oto, co propaguje p. Podgórski: Poleszukowi trzeba pozostawić pełną swobodę w uprawianiu... kłusownictwa. Mało tego — to, zdaniem p. Podgórskiego, „dałoby znakomity plus w ogólnej koncepcji obrony Pństwa", bowiem, jak twierdzi, „co piąty Poleszuk, przypatrując się jak jego „did" pieścił okręconą sznurkami kapiszonówkę — jest dzisiaj zapamiętałym myśliwym".

Co do zwierzyny, której tępienie w takich warunkach p. Podgórski rozumie, to chętnie ją kładzie jako ofiarę na ołtarzu zaskarbiania przez Państwo tą drogą uczuć obywatelskich u Poleszuków-kłusowników, którzy w przeciwnym razie — wobec panującej rzeczywistości, t. j. karania ich za wykroczenia przeciwko prawu łowieckiemu, stają się „podatnym materjałem do sprytnie wykorzystującej ten moment psychologiczny agitacji ze wschodu".

A więc p. Podgórski, chwała Bogu, nie jest bolszewikiem i właśnie, składając ofiarę z pięknych, imponujących wszystkim największym zagranicznym myśliwym zwierzostanów Kresów Wschodnich, za tę cenę nabywać chce praworządność obywateli-Poleszuków względem Państwa Polskiego! Uważa to za jedyny, a przynajmniej niezmiernie ważny środek przeciwstawienia się agitacji bolszewickiej wśród mało oświeconej, bytującej w prymitywie ludności Polesia!

Nie, doprawdy — warte śmiechu!

Wykonywanie prawa łowieckiego na Polesiu uważa ten rzecznik państwowy i społeczny za nierealne, zaś liberalne zmiany tej ustawy specjalnie dla kłusowników-Poleszuków (dlaczego nie dla wszystkich kłusowników-bandytów, skrytobójczych morderców wielu funkcjonarjuszy palicji państwowej i leśników pełniących swą ciężką służbę?!) za „wychowujące" raczej na dobrych obywateli Państwa. Liberalność tych zmian p. Podgórski rozumie przytem w ten sposób, że powinno się wprowadzić tam (na Polesiu) „legalizację posiadanej broni", która (legalizacja) nie będzie powodować większego tępienia zwierzyny, lecz zato stanie się to tępienie „kontrolowaniem", a wszystko to stanowić będzie posunięcie „głaskające zakorzenione instynkty"... dla dobra państwowości polskiej.

Natomiast upieranie się przy wykonywaniu dzisiejszego prawa łowieckiego w tej dzielnicy, a między innemi konfiskata nielegalnie posiadanej broni, nakładanie kar na przestępców łowieckich, jest „dokonywaniem czynów w pojęciu tubylców niesprawiedliwych", wywołujących „oprócz zdumienia ze spotkanej krzywdy, antagonistyczne nastawienie do władzy".

Ustawy polskie, jako „nastawione na wyższą kulturę", uważa p. Podgórski za niewłaściwe na Polesiu, a wykonywanie prawa łowieckiego w tej jakby przedhistorycznej krainie za postępowanie „w myśl egoistycznych nałogów myśliwych".

Panie Podgórski, wiele jeszcze nauczyć się pan musi i z książek i z życia, aby zabierać głos w sprawach tak delikatnych, jak „interpretacja powszechnego prawa przy jednoczesnem zastosowaniu odpowiednich korektyw i zmienności warjantów, w zależności od miejsca danej jurysdykcji i warunków lokalnych, owa decentralizacja zgoła nierealnych nieraz kanonów, znakomicie mogąca ułatwić współpracę wszystkich regjonów Państwa — w stosunku do tego Państwa prawidłowego rozwoju".

To pańskie motto, myśl przewodnia, nakreślona we wstępie do płomiennego artykułu o naprawę ustaw dla Polesia, którą chce pan zacząć od dziedziny łowieckiej.

Dla poważnie myślących, noszących w sobie zasadnicze podstawy etyki, a obok — tradycją przekazywane uczucia sentymentu i wyrozumiałości dla poczciwego „hada" poleskiego — dla ludzi doświadczenia wreszcie, doświadczenia na polu stosowania ustaw i ich „warjantów", artykuł pański, to humoreska, z którą oczywiście nikt poważnie liczyć się nie będzie.

Ale na pociechę powiem panu, jako myśliwy, który bywał na Polesiu i polował tam „w myśl egoistycznych nałogów", że dla Poleszuka znacznie ważniejszem jest, ażeby mu dopomódz w tem, iżby miał przez okrągły rok co do gęby włożyć: podnieść kulturę jego roli, jego łąk, jego rzemiosła, przyznać mu możliwie szczodrze kredyty na nowoczesne narzędzia, maszyny, nawozy sztuczne, ustanawiać premje za wyprodukowaną ponad przeciętną normę ilość zboża i t. p. — i w tym kierunku powinny iść zarządzenia państwowe. Ważniejszem jest obok tego i to, iżby Polesie odwiedzało jak najwięcej myśliwych z „egoistycznemi nałogami", którzy w ręku Poleszuka, właściciela terenu łowieckiego, woźnicy, przewoźnika, tragarza, posługacza, przewodnika, rybaka i t. d. i t. d. pozostawią — g o t ó w k ę.

I to niechaj pan wie i dobrze rozważy, że „co piąty Poleszuk" nie jest bynajmniej „zapamiętałym myśliwym, któremu „brakonierstwo" weszło w krew", boby zwierzyny już dawno tam nie było, jak znikła wówczas, gdy w powojennych czasach było tej chwalonej przez pana „swobody" za wiele.

I wreszcie niech pan rozważy także, czy staje pan w świadomej obronie Poleszuka-kłusownika i chce mu pan „ulegalizować" broń w tym celu, aby go tą drogą zdobytą nakarmić? Ależ, panie, na to nie starczy łosi, jeleni, dzików, sarn, zajęcy i ptactwa z całego nawet kraju, gdyby je pozwolić wymordować do szczętu w jednym roku tylko na rachunek tylekroć głodującego Polesia.

Więc „rozwiązać to palące zagadnienie", panie Podgórski, trzeba inaczej... Trzeba się jeszcze dużo, bardzo dużo nauczyć, aby się stać pożytecznym obywatelem kraju, patrjotą i ekonomistą, a do poznania psychologji ludu poleskiego trzeba mieć więcej talentu i doświadczenia.

Same dobre chęci nie wystarczą, bo... „dobremi chęciami piekło wybrukowano!"

WUZET.

WYPADKI NA POLOWANIU.

(—zet—) W ostatnich dniach września zdarzył się we wsi Wólka Przytulska, powiatu sokólskiego, woj. białostockiego, podczas polowania nieszczęśliwy wypadek. Niejaki Jan Góras spowodował przez nieuwagę wystrzał z dubeltówki w takich okolicznościach, że nabój ugodził jego samego w głowę.

Postrzelony wkrótce potem zmarł.

*

(—zet—) Na terenie wsi Kionczyn, gm. Zbiersk, pow. kaliskiego, polowało na kuropatwy grono myśliwych z Kalisza. Jeden z myśliwych przez nieuważny strzał do zwierzyny, postrzelił w rękę kopiącego w pobliżu ziemniaki Stanisława Waszaka.

*

(Sem) Podczas polowania, urządzonego przez Lipnowskie Koło Myśliwskie, jeden z uczestników, p. Lewandowski, syn pastora, postrzelił przypadkowo p. Edwarda Kucharskiego i jego syna Mirosława. Rannym pierwszej pomocy udzielono na miejscu.

*

Wobec częstych podobnych wypadków na polowaniach, myśliwi winni we własnym interesie, ubezpieczać się na okresy polowań w towarzystwach ubezpieczeniowych od wysokiej niejednokrotnie odpowiedzialności cywilnej.

KŁUSOWNICTWO.

JESZCZE JEDEN ŁOŚ...

(—zet—) W gminie werenowskiej, pow. lidzkiego, pojawiał się od czasu do czasu na polach kolonji Towzginiany łoś, który przychodził tam z Puszczy Rudnickiej.

Miejscowi włościanie, w liczbie trzech, zastawili na łosia pętle ze sznurów i w dniu 29 września udało im się w ten sposób zwierzę złowić. Wówczas unieruchomili je, zarznęli, obdarli ze skóry, dzieląc się zdobytem w ten sposób mięsem.

Bestjalski czyn doszedł natychmiast do wiadomości policji państwowej, która odebrała kłusownikom skórę i mięso, sporządzając odpowiedni protokół. Skórę odesłano do starostwa, mięso zaś sprzedano z licytacji w zarządzie gminy Werenów.

*

(—zet—) Według „Ostatnich Wiadomości" z dnia 25 września b. r. w sądach w Białymstoku odbyła się w bieżącym roku wielce charakterystyczna rozprawa przeciwko zabójcom egzekutora skarbowego, a przedtem jeszcze gajowego lasów państwowych, której historję tu powtarzamy:

W końcu stycznia r. b. pod Białymstokiem znaleziono zwłoki egzekutora skarbowego, Dudyńskiego. Obok leżał trup woźnicy Karola Laskowskiego. Brak teczki i ślady kul wskazywały, że obaj padli ofiarą napadu rabunkowego.

Wszczęto dochodzenie. W drodze poufnych informacji policja ustaliła, że napadu dokonali miejscowi awanturnicy Stefan Puchalski i Kazimierz Wróblewski. Działać oni mieli z namowy niejakiego Hnyszki i Murzyńskiego. Obaj znani byli powszechnie jako niecodzienne typy.

Hnyszko przez wiele lat mieszkał w Ameryce. Po powrocie do Polski wszystkim opowiadał o stosunkach amerykańskich, zachwycając się przedewszystkiem organizacją bandytów i gangsterów chicagowskich.

Z osobą Wróblewskiego wieść publiczna łączyła zagadkowe zniknięcie gajowego lasów państwowych.

Wróblewski był znanym kłusownikiem. W 1933 roku kilkakrotnie przyłapał go na gorącym uczynku jeden z gajowych. W lecie gajowy ten zniknął bez śladu. Wróblewski był tak bezczelny, że ubiegał się o posadę gajowego po zaginionym. Nie przyjęto go jednak.

W toku śledztwa w sprawie o napad rabunkowy na egzekutora podatkowego zainteresowano się bliżej owem zniknięciem gajowego.

Przetrząśnięto całą puszczę. I otóż w mszarach natknięto się na zwłoki gajowego, świetnie zachowane.

Jak się okazało, mech znakomicie wpłynął na konserwację trupa i na jego „zmumifikowanie". Dzięki temu nietylko ustalono fakt zabójstwa, ale i to, że zamordowany padł od kuli karabinowej z broni, którą znaleziono u Wróblewskiego.

Całą tedy bandę postawiono w stan oskarżenia.

Sąd Okręgowy w Białymstoku skazał Wróblewskiego i Puchalskiego na dożywotnie więzienie, a Hnyszkę na 12 lat i Murzyńskiego na 8 lat więzienia.

Od tego wyroku zaapelowali: prokurator, domagając się podwyższenia kary Hnyszce, oraz wszyscy oskarżeni, z wyjątkiem Wróblewskiego, który wyrok bezterminowego więzienia przyjął.

Sąd Apelacyjny na rozprawie w dn. 24 ub. m. oddalił apelacje obydwu stron, zatwierdzając kary, zastosowane przez pierwszą instancję.

*

(—zet—) Nad jeziorem Gulbiny (koło Wilna) gajowy lasów państwowych, Sokołowski, zranił z rewolweru kłusownika rybackiego, niejakiego Chmielewskiego, napotkanego na kradzieży ryb. Okoliczności prasa nie podaje.

Chmielewskiego przewieziono do szpitala w Wilnie.

*

(—zet—) W lasach pszczyńskich od dłuższego czasu grasowała szajka kłusowników, polujących w rewirze pod Gostynią na zwierzynę nocami. Pomimo wielu zabiegów i urządzanych obław, kłusowników nie udawało się ująć przez czas dłuższy, toteż wyrządzili oni sumarycznie bardzo poważne szkody pośrod zwierzostanu, zwłaszcza grubego.

Przypadkowo przeprowadzono rewizję w mieszkaniu Franciszka Głucha w Gostyni, podczas której znaleziono wojskowy karabin. Głuch przyznał się do tego, że używał karabinu tego do strzelania zwierzyny, wobec czego osadzono go w areszcie. Następnie Głuch wydał swych wspólników, mianowicie Jana i Augustyna Suchoniów. Rewizja u tych ostatnich dała oczekiwany wynik. Znaleziono u nich 2 flowery, sidła i różne przybory myśliwskie, nadto — trzy skóry sarn i jeleni, wreszcie kilkanaście skórek zajęczych i króliczych.

Suchoniowie również przyznali się do wspólnych z Głuchem wypraw nocnych i wskazali w lesie miejsce, w którem zakopany był przez nich jeszcze jeden flower.

Mięso zwierzyny kłusownicy jedli sami, piekąc je w nocy, lub sprzedawali obywatelom niemieckim, którzy zabierali je zagranicę.

*

(—zet—) W leśnictwie Sokołoda (nadleśnictwa sokolskiego) czatowali na kłusowników przy drodze, koło wsi Borki, leśniczy Jerzy Szybkowski z gajowym Wincentym Puciłowskim.

Gdy zauważyli kłusownika z myśliwską strzelbą w ręku, wezwali go do zatrzymania się, lecz zaskoczony nie usłuchał i począł uciekać.

Wówczas leśniczy wystrzelił w górę z pistoletu, a Puciłowski począł ścigać zbiega, przyczem przewrócił się i spowodował wystrzał z trzymanego w ręce rewolweru. Kłusownik zbiegł.

Tego samego dnia zgłosił się do posterunku pol. państw. w Szudziałowie mieszkaniec wsi Borki, Eugenjusz Nalewajko i zameldował, że na drodze został postrzelony w nogę przez dwóch nieznanych mu osobników.

Policja wszczęła dochodzenie.

*

(—zet—) Na terenie lasów ks. Donnersmarcka, koło Babienicy, pow. Lubliniec, gajowy Karol Musik spotkał kłusownika Franciszka Pająka z Mryków, który miał w rękach nabitą dubeltówkę.

Musik wezwał Pająka do złożenia broni, kłusownik jednak nie reagował na to, natomiast wymierzył broń w gajowego.

Musik uprzedził kłusownika i wystrzelił do Pająka, trafiając go w lewą rękę i pierś. Ranionego odwieziono do szpitala.

*

(—zet—) Strażnicy graniczni z placówki Stany okręgu częstochowskiego, dowiedzieli się, że syn gospodarza Piotr Dymarek poluje z psem na zające i przynosi do domu zdobycz.

Jeden ze strażników udał się do zagrody Dymarków dla przeprowadzenia dochodzenia i skonfiskowania nieprawnie zdobytych trofeów. Piotra w domu nie było, natomiast brat jego, Adam, zachował się wobec rewidenta agresywnie, zamierzając się żelaznym garnkiem, widłami i wymyślając. Również agresywnie zachowywała się matka Dymarków.

W tych warunkach strażnik widział się zmuszonym dać strzał alarmowy, na który przybyła odsiecz. Wówczas przy dokonanej rewizji znaleziono jednego tylko zająca, obdartego już ze skóry.

Matce i Adamowi grozi odpowiedzialność za opór strażnikom. Piotr odpowiadać będzie za udowodnione kłusowanie.

*

(—zet—) W lasach maj. Kobylebłoto — na Pomorzu, leśniczy Franciszek Kamecki, ujął w swoim czasie na gorącym uczynku zastrzelenia sarny kłusownika Edwarda Peplińskiego.

W końcu września Pepliński odpowiadał przed sądem, który zastosował doń karę półrocznego więzienia. Ze względu na dotychczasową niekaralność, karę tę sąd zawiesił na 5 lat.

*

(—zet—) W grudniu ub. roku gajowy maj. Chorzenice pow. radomskowskiego, Gajzler, napotkał w lesie bandę uzbrojonych w dubeltówki kłusowników, którzy, korzystając ze swej liczebnej przewagi, usiłowali go okrążyć i zaczęli doń strzelać.

Gajzler szczęśliwie zdołał umknąć napastnikom, lecz przedtem rozpoznał wśród nich dwu mieszkańców okolicznych wsi, a następnie dochodzenie policyjne ustaliło, że byli to: Józef Mencel z Bogumiłowa i Robert Milnikiel z Karolina, gm. Brudzice.

Sąd Okręgowy rozpatrywał tę sprawę w końcu września b. r. i zasądził obu kłusowników po 1 roku więzienia, łagodząc tę karę do połowy na mocy amnestji.

*

(—zet—) Gajowy Franciszek Szufla z Kochłowic (Śląsk), obchodząc swój rewir, przyłapał na gorącym uczynku kłusownika, niejakiego Józefa Szulca z Kochłowic, który miał ze sobą nabitą broń myśliwską.

Wobec wylegitymowania się i złożenia przez Szulca broni w ręce gajowego, został on puszczony przezeń wolno, o kłusownictwie zaś Szufla złożył raport na posterunku policji państw.

W Y K A Z

skonfiskowanej broni na terenie powiatu wołożyńskiego w czasie od dnia 1 września 1935 roku do dnia 31 sierpnia 1936 r., odebranej w czasie rewizji domowej, wzgl. kłusownikom w polu.

L. p.	Nazwa jednostki, która odebrała broń	Wrzesień	Październ.	Listopad	Grudzień	Styczeń	Luty	Marzec	Kwiecień	Maj	Czerwiec	Lipiec	Sierpień	Razem
1	Posterunek Pol. Państwowej B a k s z t y	1	2		1		1	1	1		2	3	1	13
2	Posterunek Pol. Państwowej I w i e n i e c				2	6	1	3	1		1		1	15
3	Posterunek Pol. Państwowej J u r a c i s z k i			1	3	1		1	1	3	1		1	12
4	Posterunek Pol. Państwowej Ługumowicze	1			4	4		1	1	9		6		26
5	Posterunek Pol. Państwowej P i e r s z a j e			2	1	1		1	1		1			7
6	Posterunek Pol. Państwowej T r a b y				1		1					2		4
7	Posterunek Pol. Państwowej W i s z n i e w o				1	1		2		1				5
8	Posterunek Pol. Państwowej W o ł o ż y n			1	2	1	1	1		1		2	2	11
9	Posterunek Pol. Państwowej W o ł m a					1		1					1	3
10	Posterunek Pol. Państwowej Z a b r z e z i e	1	1		1	3	1		1	2	1	3		14
	R a z e m	3	3	4	16	18	5	11	6	16	6	16	6	110

KRONIKA MYŚLIWSKA.

TRZY DNI POLOWANIA NA KUROPATWY W ŁOMŻYŃSKIEM.

— Jedziesz na kury w Łomżyńskie?!... — Spotkany na dworcu przyjaciel ma minę conajmniej zdziwioną. — Nie życzę Ci szczęścia, lecz... czy nie za wiele amunicji tam wieziesz?!...

I tu spojrzał już wzrokiem szyderczym na dwie pokaźne paczki ze Spółki Myśliwskiej, dźwigane przez strzelca.

Chłodnym uściskiem dłoni żegnam go nieco speszony i podążam do wagonu z napisem: Warszawa — Łomża, w pustym przedziale oddając się rozmyślaniu, podczas którego uparcie powracała wyraźnie brzmiąca nuta ironji w słowach: — Na kury w Łomżyńskie?!...

— 5.IX. b. r. odbyło się polowanie na kuropatwy w majątku Korzeniste, powiat Kolno, ziemi Łomżyńskiej. Polowano w 5 strzelb ławami i w pędzeniach. Podniesiono 505 sztuk.

— 6 i 7.IX. b. r. odbyło się polowanie na kuropatwy w majątku Zaskrodzie, pow. Kolno, ziemi Łomżyńskiej. Myśliwych 6-ciu. Ławy i pędzenia. Rezultat 2 dni: podniesiono 902 sztuki.

Kuropatw, bażantów, zajęcy na obu terenach łowieckich bardzo dużo. Ten niebywały zwierzostan na tych sąsiadujących ze sobą terenach zawdzięczać należy p. Marjanowi Lasockiemu i p. Konstantemu Komierowskiemu, którzy, dzięki odpowiedniej hodowli i ochronie, doprowadzili w przeciągu trzech lat do takiego zwierzostanu na terenach, gdzie zwierzyna była kompletnie wyniszczona.

— Tak, przyjacielu: „Kuropatwy w Łomżyńskiem!" Dziś można te słowa brać w cudzysłów i tytułować niemi literacko ujęte wrażenia... I radzę Ci, jeśli Cię tam zaproszą, jedź i to bez namysłu. Ja nastrzelałem się dostatecznie. W Korzenistem miałem 170, a w Zaskrodziu 233 sztuki. W trzy dni 403 sztuki. To wymowne cyfry.

KAZIMIERZ DRECKI.

— W dniu 14 września r. b., w dobrach Morzyce p. Włodzimierza Grodzickiego, odbyło się polowanie z naganką na kuropatwy w 24 strzelby. Rezultatem polowania było 759 kuropatw oraz kilkadziesiąt sztuk rozmaitej zwierzyny, głównie gołębi dzikich, turkawek i siewek, jeden tchórz, jeden królik dziki, 2 domowe koty zdziczałe, 1 sowa i 1 jastrząb. Najwięcej ubitych sztuk na rozkładzie (86) miał p. Zdzisław Kiwerski z Izabeli.

— Dnia następnego polowano z naganką w 18 strzelb na kuropatwy w majątku Sokołowo p. Kazimierza Grodzickiego, gdzie rezultatem polowania było ponad 650 kuropatw. Najwięcej sztuk na rozkładzie miał p. Kazimierz Bacciarelli.

— Trzeciego dnia wreszcie odbyło się polowanie również z naganką w 16 strzelb w dobrach Kazanie p. Filipa Grodzickiego, gdzie padło ponad 550 kuropatw, a najwięcej na rozkładzie miał Ryszard hr. Czarniecki.

Ponieważ zaś w międzyczasie zabito jeszcze w Morzycach w 4 strzelby sztrajfą ponad 150 kuropatw, przeto w ciągu tych trzech dni w podanych majątkach padło zgórą 2.000 kuropatw.

Bardzo licznie wymykające się przed naganką zające, spora ilość sarn w polach oraz znaczna obfitość bażantów, przy wprost niesłychanej ilości kuropatw, świadczą pochlebnie o znakomicie utrzymanym zwierzostanie w tych majątkach.

Sprawozdania łowieckie z powiatu Radomsko (wojew. łódzkie).

Najpiękniejsze rezultaty polowań walnych

Rok	Miejscowość	Właściciel	Data	Ilość strzelb	Zając	Królik	Kuropatwa	Bażant	Słonka	Inne	Razem
1929	Silnica . . .	p. Hieronim Siemieński . .	28/IX	8		273	395	4			672
	" . . .	" . .	25–26 X	8		443	84	9			536
	" . . .	" . .	18/XI	6	166	27	14	3			210
	Chełmno . . .	p. Zbigniew Wielowieyski .	16–17 IX	10			604			16	620
	Maluszyn . .	Stanisław hr. Potocki . . .	21/IX	9			300	15			315
	Sekursko . .	p. Jan Biedrzycki . . .	12/XII	11	496	255		83			834
	Sekursko . .	" . .	25/X	7		658	316		7		981
1930	Sekursko . .	" . .	13/XII	10	704	342	135		2		1183
	Silnica . . .	p. Hieronim Siemieński . .	18/X	8		156	574	28			758
	" . . .	" . .	27/X	10		1400	81	16	2	3	1502
	Kruszyna . .	J. O. Stefan ks. Lubomirski .	22 IX	11		1268	28	9			1305
	Kobiele . . .	p. Izabella Sobańska . . .	20–21 X	8		184	822		2		1C08
1931	Sekursko . .	p. Jan Biedrzycki . . .	21/XI	8	223	653		344	10		1230
	" . . .	" . .	7/X	10		72	510				582
	Silnica . . .	p. Hieronim Siemieński . .	17/X	9		1022	26		3		1051
	Maluszyn . .	Stanisław hr. Potocki . .	26/XI	9	619	22	115	327		1	1084
	Kobiele . . .	p. Izabella Sobańska . . .	14–16 IX	9		302	933	94	1	1	1331
	Kruszyna . .	Stefan ks. Lubomirski . . .	7–8 X	9		867	256	17	2	1	1143
	Chełmo . . .	p. Zbigniew Wielowieyski .	21–22 IX	8		5	1051	1	1	14	1072
	Bąkowa Góra .	Alberta hr. Potocka . . .	20–21 X	10		97	850		2		949
1932	Sekursko . .	p. Jan Biedrzycki . . .	12 XI	10	346	1071	51	245	3	1	1717
	Silnica . .	p. Hieronim Siemieński . .	28–XI	7		127	415				542
	" . . .	" . .	18–X	7		1053	1	14	3		1071
	Chełmo . . .	p. Zbigniew Wielowieyski .	11–12 X	9		20	1035		1	3	1059
	Kruszyna . .	Stefan ks Lubomirski . . .	12 14 IX	8		867	344	21	1	3	1236
1933	Sekursko . .	p. Jan Biedrzycki . . .	11–XI	10	’15	553	37	407			1312
	" . . .	" . .	8/I	4	36	20		147			203
	Silnica . . .	p. Hieronim Siemieński . .	12 X	8		1106	1	4	6		1117
	Chełmo . . .	p. Zbigniew Wielowieyski .	9–10 X	8		30	1028	2	1	10	1071
	Maluszyn . .	Stanisław hr. Potocki . . .	20–XI	9	811	4	88	440			1343
	Radoszewnica .	p. Michał Ostrowski . . .	4 IX	6		33	606				639
1934	Sekursko . .	p. Jan Biedrzycki . . .	10/XI	9	16	232	23	373		4	648
	Bąkowa Góra .	Alberta hr. Potocka . . .		9	290	120	90	10	4		514
	Radoszewnica .	p. Michał Ostrowski . . .	16/XI	8	379	35		106			520
	Silnica . . .	p. Hieronim Siemieński . .	28/IX	6		162	323				485
1935	Maluszyn . .	Stanisław hr. Potocki . . .	21/XI	9	580	13	81	360	3	5	1042
	Sekursko . .	p. Jan Biedrzycki . . .	17/XI	10	420	40	27	493	11	3	994
	Radoszewnica .	p. Michał Ostrowski . . .	7/XII	9	429			142		1	572

Uwaga. Powyższe zestawienia zrobione są na podstawie danych z 30 majątków ziemskich, nadleśnictwa Państwowego Gidle i Towarzystwa Myśliwskiego w Radomsku.

STATYSTYKA SPRAW KARNYCH I POZWOLEŃ NA BROŃ.

ROK	Odebrano strzelb kłusownikom	Złapano kłusowników	Policja Państwowa: odebrała strzelb kłusownikom	Policja Państwowa: podała spraw karnych	Kart łowieckich wydano	Pozwoleń na broń wydano
1928	33	144	—	—	—	—
1929	42	106	114	304	830	302
1930	50	182	101	429	617	210
1931	30	180	71	358	212	661
1932	24	122	98	324	196	750
1933	25	111	28	285	202	635
1934	27	167	95	238	228	547
1935	37	217	113	174	191	801

Terenów własnych — 77 (56-663 ha)
" wspólnych — 153 (153-600 ha)

HIERONIM SIEMIEŃSKI
Delegat Polskiego Związku
Stowarzyszeń Łowieckich
na powiat Radomsko.

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. Wydawca: Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 7,50; za pół roku zł. 15; za rok zł. 28. — Miesięcznie zł. 2,50. — Numer pojedyńczy 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; ½ — 150 zł.; ¼ — 75 zł.; ⅛ — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. Drobne ogłoszenia — po 10 gr. za wyraz; grubemi literami — po 20 gr. za wyraz; mniejsze ogł. — 1 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia. Prosimy o nadsyłanie rękopisów wyłącznie pod adresem redakcji.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 3-ą i 4-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Zarząd i Sekretarjat Polskiego Związku Stowarzyszeń Łowieckich tel. 6 66-15.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 607-98. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa

Gajowy młody energiczny, poszukuje posady, z dobremi świadectwami parę lat praktyki leśnej. Adres, poczta Zaborów, wieś Marjew, Józef Barcz.

Leśniczy, poznańczyk, lat 32, silny, zdrów, doświadczony fachowiec, z 13-letnią praktyką, uczciwy, obowiązkowy i energiczny, wiadomości wszechstronne z gospodarki leśnej, książkowości i kasowej, oraz sztucznego wychowu bażantów. Świadectwa i polecenia bardzo dobre. Wymagań skromnych. Miejscowość obojętna. Podać warunki. Poszukuję posady leśniczego-kontrolera, ewentualnie borowego-strzelca i t. p. J. Sokowicz, Kaczanowo 55, poczta Września, (Poznańskie).

Łowczy, doświadczony hodowca bażantów poszukuje posady. Warszawa, Czerniakowska 186 m. 17 Kober.

Niemkę krótkowłosą, trzecie pole, sprzeda leśniczy Józef Hławiczka. Wisła.

Puhacz, ładny, wyrośnięty okaz, na sprzedaż. Chirkowski, poczta Bronna Góra, Polesie.

Roczniki „Łowca Polskiego" 1925-1935 tanio sprzedam. Eugenjusz Pacyna Chojnów poczta Piaseczno.

Rogi żubra oprawione na sprzedaż. Zgłoszenia do adm. „Łowca Polskiego" pod „422".

Roczniki „Łowca Polskiego" 1929, 1930, 1931, 1932 i 1933, oprawne w płótno angielskie zielone ze złoceniami, okazyjnie do sprzedania. Wiadomość w administracji „Łowca Polskiego".

Settery irlandzkie, szczeniaki po dobrych rodzicach w polu, 8 tygodniowe, sprzedaję—Węgrzyn, Prużana, Dąbrowskiego 90.

Sprzedam niemieckiego psa ostrowłosego, oraz krótkowłosą niemiecką sukę (psy polowe) F. Gramowski. Kobylniki, poczta Kruszwica pow. Mogilno.